CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 2 (1842) ● 9–15 stycznia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

WOJSKOWA OPERACJA SPECJALNA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

WOJNA DOMOWA

3 stycznia, kiedy większość wolnego świata doleczała sylwestrowego kaca, jego (świata, nie kaca) przywódca uczcił szóstą rocznicę zabicia irańskiego generała Ghasema Solejmaniego, porywając wenezuelskiego prezydenta Nicolása Maduro. Przywódcy Polski zachowali się, jak przystało na mężów stanu z kraju tyle razy we krwi skąpanego przez arogancję mocarstw. Prezydent Nawrocki nie powiedział nic. Premier Tusk opierdolił Polaków, którzy mogli wleźć Amerykanom na linię strzału: „Mam informację o 11 obywatelach Polski, którzy przebywają w Wenezueli. Wyjechali tam mimo wielokrotnych ostrzeżeń ministra spraw zagranicznych"… Niżsi rangą politycy byli mniej powściągliwi. „Zobacz, Donaldzie Tusku, jak kończą dyktatorzy" – napisał błyskotliwie Mariusz Kamiński, udostępniając zdjęcie porwanego i oznaczając premiera. „Assad, Maduro…Tusk?" – zapytał z kolei szef TV Republika Tomasz Sakiewicz.

Nożyce od strony rządowej odezwały się ze spodziewanych stołów. „Pisowcy są gotowi pełzać przed Trumpem w nadziei, że ten usunie premiera polskiego rządu" – zawrzasnął Roman Giertych, zarzucając Sakiewiczowi, że „popełnia zbrodnię podżegania do wojny" poprzez „namawianie Trumpa do lotniczego uderzenia na Warszawę". „Tak się rodzi Targowica" – podsumował niezbyt oryginalnie, bo na ten sam pomysł wpadła Anna Maria Żukowska: „Tradycja Targowicy w Polsce wiecznie żywa" – napisała. I jeszcze coś o „wzywaniu do interwencji zbrojnej obcego państwa w celu obalenia jego rządu". Giertych wyprzedził Żukowską w wyścigu do prokuratury: szefowa KP Lewicy zapowiedziała, że „zaryzykuje i złoży zawiadomienie", podczas gdy Giertych ogłosił: „Składam zawiadomienie". „Przestali już wierzyć w swoją wygraną w demokratycznych wyborach, więc zaczęli się modlić o obcą interwencję w celu obalenia »dyktatury Tuska«" – napisał z kolei sam Donald Tusk. Tak, bo gówniarskie pyskówki PO–PiS-u to najważniejszy aspekt sprawy.

Ale nie jest tak, że nikt z polskich polityków nie dostrzegł wagi wydarzenia. Poważnie i odpowiedzialnie wypowiedział się zasłużony poseł PiS Jarosław Sellin: „Z punktu widzenia polskich interesów czy zastanawiania się nad konsekwencjami dla polskich interesów można powiedzieć tak: rzeczywiście powinniśmy być teoretycznie strażnikami prawa międzynarodowego, prawa do samostanowienia państw, ale przypadek Wenezueli jest szczególny". Bycie strażnikami prawa teoretycznie to coś, w czym Prawo i Sprawiedliwość ma wielką wprawę.

Polskie elity nie mogły zbyt wiele uwagi poświęcić jakiemuś tam porwaniu na drugim końcu świata, bo tu, w Europie, odbywała się 2648 przełomowa konferencja w sprawie Ukrainy. Na którą Polska wyjątkowo została zaproszona. Wprawdzie atmosfera transatlantycka była nieco zwarzona po tym, jak Przywódca Wolnego Świata zapowiedział anschluss Grenlandii, ale polscy obrońcy demokracji i wolności nie tracą z oczu celu, jakim jest kołysanie jaj Donalda Trumpa. Zapytany w Paryżu o amerykańskie plany napaści na Danię, premier Tusk odparł szczerze: „Nikt nie chciał psuć nastroju dobrej współpracy w sprawie Ukrainy, więc nikt kwestii Grenlandii nie poruszał".

Dla wyrównania tego przejawu miękkości Donald Tusk opowiedział o swojej twardości. Zapytany o awanturę, jaka miała miejsca w rządzie w związku z projektem przyznania Państwowej Inspekcji Pracy odrobiny poważnych uprawnień – a konkretnie przekształcania lipnego samozatrudnienia w zgodny z prawem etat – premier rzekł z wyraźnym zadowoleniem: „Czytałem już i słyszałem legendy o przebiegu Rady Ministrów". Do legend – dodajmy – należy opowieść o tym, że kiedy min. Żurek próbował załagodzić awanturę, Tusk pokazał mu jego miejsce w szyku słowami: „Waldemarze, ja cię błagam, nie wtrącaj się" (słowo „błagam" należy zapewne traktować metaforycznie). Premier nie pozwoli na zmuszanie przedsiębiorców do przestrzegania prawa, bo byłoby to „bardzo destrukcyjne dla bardzo wielu firm" i dlatego „w sposób bardzo twardy i z uzasadnionymi emocjami o tym mówił".

Twardości zabrakło Agnieszce Dziemianowicz-Bąk, która podczas spotkania z dziennikarzami wyglądała, jakby na wspomnienie wrzasków Tuska miała się rozpłakać (praktyczna rada: język do podniebienia). Do pewnego stopnia wspierał ją przewodniczący Czarzasty, który odnotował, że możliwość zamiany „nieuczciwej" umowy śmieciowej na umowę o pracę ma duże poparcie społeczeństwa. To raczej rządu nie obejdzie – ale jest jeszcze Komisja Europejska, która nadanie PIP realnych uprawnień w kwestii formy zatrudnienia wpisała do „kamieni milowych". Zresztą na prośbę tego rządu, który rzucił tę ofertę na pocieszenie w zamian za zapis o uczciwym ozusowaniu umów zleceń, na które zgodził się rząd Morawieckiego.

Minister Bogucki od prezydenta usiłował wytłumaczyć, dlaczego jego szefowi nie przejdzie przez pióro ustawa o statucie osób najbliższej: „Tam jest mowa o związkach! O związkach! Dlaczego ta ustawa nie koncentruje się na tym, żeby tym osobom, które się kochają, są w takim czy innym... yyy… takiej czy innej relacji" – tu Bogucki się połapał, że się wkopał, więc zmienił bieg: „Na pewno prezydent, na pewno ja, na pewno nikt z kancelarii nie ma ochoty zaglądać nikomu do domu i mówić, kto z kim ma mieszkać, w jaki sposób ma w sobie układać życie, to jest sprawa Polaków". Ale „nie nazywajmy tego związkiem, bo to jest pierwszy krok. Diabeł tkwi w szczegółach. Bo jest mowa o związku. Jeżeli związek to rodzina, jeżeli rodzina to takie same uprawnienia, tak jak małżeństwo, jeżeli takie same uprawnienia jak małżeństwo, to na przykład adopcja dzieci"… Dziwacznie, podobną wstydliwość wobec słowa „związek" (a już boże uchowaj jednopłciowy) zaprezentował Donald Tusk: „Chodzi o takie kwestie jak na przykład uprawnienia dla… yyy… no, mówimy o tej ustawie o statusie osoby najbliższej, więc także o tych niesformalizowanych parach partnerskich"…

A tak w ogóle to zastanowiło nas, dlaczego Donald Tusk w Paryżu nie występował na tle polskiej flagi, tylko na tle bandery statku polskiej marynarki handlowej. Może Francja zajęła jakiś polski tankowiec, a my o tym nie wiemy? W końcu prezydent Macron ogłosił, że popiera działania Trumpa wobec Wenezueli – gdzie przygrywką było mordowanie rybaków i rekwirowanie tankowców, a następnie kradzież znajdującej się na nich ropy.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Styczeń 2014 r.

Świętego Bazylego

1 stycznia około północy samotnie przy stole piłem wódkę, zakąszając bananem. Następnie zgasiłem w jadalni światło i – jak przypuszczałem – poszedłem do sypialni. Zbudziwszy się, chwytałem rękami metalową rurę i plątaninę nóg od krzeseł. Myślałem, że to mi się śni, ale nie. Zwaliłem się bez czucia na podłogę przy moim barze. Azor smacznie spał na swoim posłaniu w tym samym pomieszczeniu. Nie wiem, kto poznaje przyjaciół w biedzie. Upadły człowiek nawet na swojego psa nie może liczyć. Dwa pęknięte żebra.

Świętej Genowefy

Przed jakąś uroczystością w Warszawie BOR w grudniu przewiózł żonie premiera suknię z Sopotu do stolicy. Taki lot kosztuje więcej niż najdroższa kiecka w warszawskich sklepach. Jednakże Tusk miałby proces karny, gdyby za państwowe pieniądze kupił żonie suknię. Legalizm bardzo jest kosztowny. Dla dobra państwa BOR powinien suknię ukraść ze sklepu.

Świętego Odylona

W prawicowym tygodniku „W Sieci" socjolog Barbara Fedyszak-Radziejowska ozdabia numer noworoczny wyjaśnieniem, dlaczego hipotezę zamachu w Smoleńsku uważa za racjonalną. Pisze, że Rosja bała się Lecha Kaczyńskiego, uznawała Polskę za silnego i zagrażającego Rosji konkurenta. Moskwa nadal uważa Polskę za swój „potencjalny obszar dominacji" – choć z wywodu wynikałoby, że przeciwnie, obawia się polskiej dominacji nad Rosją.

I tu następują argumenty historyczne. Czemu by Kreml miał nie zabić Kaczyńskiego, skoro zdaniem pani socjolog zrobił zamach na Jana Pawła II i zabił synów płk. Kuklińskiego? A Juliusza Cezara nie – ja się uprzejmie pytam?

W jednym szeregu ze zwidami stawia ta autorka aresztowanie w marcu 1945 r. szesnastu przywódców podziemia w Polsce i ich proces w Moskwie. „Ale ten wyrok sprawił, że Żołnierze Wyklęci zostali bandytami, a komuniści zyskali mandat do rządzenia Polską". Z tego ogłupiony czytelnik mógłby wnosić, że gdyby podziemie nie straciło przywódców, to objęłoby władzę nad Polską. Bo cóż tam wielomilionowe armie radzieckie w Polsce i wokół niej.

Łagodna reakcja Zachodu na proces moskiewski, która oburza autorkę, wynikała, proszę pani socjolog, z międzysojuszniczej umowy o nietolerowaniu na tyłach walczących wojsk niepodległych im sił zbrojnych. W jej myśl w zamian za tolerowanie likwidacji AK i jej następców Stalin zaprzestał popierania w Grecji komunistycznej partyzantki ELAS.

Epifanii

Cały naród zbuduje sracz im. Komorowskiego na skrzyżowaniu autostrad Wolności i Solidarności.

Świętego Melana

Chamy z PiS w jednym przypominają angielską arystokrację. Urządzają polowanie na Lisa. Mylą się też oni, że zabicie Popiełuszki uszło mi bezkarnie. Jako pokutę czytam teraz „Historię XIX wieku" Jürgena Osterhammela, świeżo przełożoną z niemieckiego. Waży ona 5 kg, w którejkolwiek trzymać by ręce. Wnętrze zawiesiste jak zupa dla bezdomnych. „Po szesnaste kolonializm powodował, iż…".

Niemieccy uczeni swe mądrości wykładają w sposób nudny jak muzyka chińska, a zawiesisty jak smoła. Czytam zdumiony, że od stulecia królowej Wiktorii dzieli mnie tylko jedno pokolenie. Kiedy mój ojciec się urodził, nieśmiało wchodziły do użytku elektryczność, samochód i telefon. Papa syfa leczył ołowiem.

Świętego Rajmunda

Prawicowi politycy i opinia publiczna kucharek zgodni są w tym, że to wydarzenia powinny tworzyć prawo karne. Jak afera Amber Gold, to chcą dożywocia za kanty; jak Madzię zabija matka, to obostrzona represja za dziecko. Jak pijak wjechał na chodnik, to 25 lat celi za ludzi. Za mojej młodości wszyscy prowadziliśmy po pijaku, ale może samochody były wolniejsze, a piesi uciekali chyżo – gwałt się o to nie podnosił. Teraz więcej ludzi jeździ na trzeźwo niż po pijaku, ale gadania więcej niż jazdy. Jeżeli zdarzy się, że niepracująca żona bezrobotnego ugotuje sobie męża na obiad, sejm uchwali karę za daleko posunięty feminizm.

Świętego Lucjana

Lubię jeść, ale to nie powoduje, że chodzę na filmy, gdzie ucztują. Wódkę lubię w przełyku, a nie na ekranie. Dlatego nie pójdę na z góry zachwycający recenzentów film Wojciecha Smarzowskiego o alkoholizmie nakręcony według Pilcha – filozofa przerw w piciu. Tytuł „Pod Mocnym Aniołem". Dwa razy wychodziłem z kina z filmów Smarzowskiego, bo pili i pili i nie miałem cierpliwości, żeby doczekać się akcji. Było to „Wesele" i „Dom zły". I w ogóle uważam, że jak aktor trzyma butelkę, strzykawkę, psa lub monolog, to reżyser powinien trzymać nożyczki. „Drogówki" nie próbowałem. Czy kiedy pijany naród chodził jeszcze pieszo, Smarzowski kręcił arcydzieło o chodniku? ❑



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Matczak, przeproś!

W „Magazynie Wyborczej" ukazała się polemika Artura Nowaka z Marcinem Matczakiem. Matczak twierdzi, że Braun jest wytworem tego, że religia katolicka jest atakowana przez polskie elity. Nie jest to prawda. Braun jest wytworem tej gorszej, antysemickiej społeczności polskiej i samego siebie. Spójrzmy prawdzie w oczy, Polacy byli i są antysemitami. W mojej rodzinie połowa osób jest wroga Żydom. Braun powinien siedzieć w więzieniu za to, co mówi i robi. Matczakowi polecam natomiast przeczytanie dwóch ostatnich książek Nowaka i Obirka „Gomorę" i „Gehennę", wtedy by nie pisał głupot wspierających katolicyzm. W Polsce toczy się walka światopoglądowa między despotycznym katolicyzmem a postępowym ruchem świeckim. My nie odpuścimy tej walki , gdyż racja historyczna jest po naszej, antyklerykalnej stronie. Polska świecka to jest wszystko, o co nam chodzi.

Matczak pisze, ze po religiach „pozostanie próżnia duchowa". W ten sposób obraża rzeszę polskich ateistów i wszystkie państwa, w których jest pełny rozdział państwa od Kościoła. Próżnię duchową wypełnia nam pięknie syn Matczaka „Mata", który zapewnia nam strawę duchową, robiąc dobrą muzykę. Obcowanie ze sztuką, nauką, sportem… jest wielokrotnie wartościowsze od wydumanych (…) dogmatów różnych wiar, które przyniosły i przynoszą światu wiele nieszczęść i wojen.

Polska dalej jest w czarnej watykańskiej dupie. I na to nigdy nie będzie naszej zgody. Matczak powinien nas przeprosić za swoje haniebne słowa i pokrętne katolickie myślenie.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

Tusk antypracowniczy

Zewsząd donoszą, że na posiedzeniu rządu przepadł pomysł wyposażenia Państwowej Inspekcji Pracy w większe uprawnienia do walki ze śmieciówkami. Podobno sam Tusk się na to nie zgodził (…). Pan premier podobno użył jak zwykle argumentu magicznego pod nazwą „pciembiorcy". (…) Bo pan premier zarówno za poprzednich swoich rządów, jak i obecnych ma do tych rekinów biznesu dziwną słabość. Ale źle kombinuje. No bo ilu może być tych „pciembiorców" wdzięcznych panu premierowi za to, że wciąż mogą traktować pracownika jak śmiecia? Kilkaset tysięcy? (…) Oni nie dadzą panu premierowi zwycięstwa w kolejnych wyborach. Ale mogą mu je dać ci ludzie, których potrzeby i prawa pan premier teraz ignoruje. Co musi się stać, by ludzie o tuskowej mentalności (…) zrozumieli, że spełnianie zachcianek wąskich grup interesu to nie jest najlepszy sposób na rządzenie krajem? Czy naprawdę trzeba kolejnych rządów skrajnej prawicy, tym razem jeszcze w dodatku brunatnej, by te sieroty po Balcerowiczu zrozumiały, że dobrobytu społeczeństwa nie buduje się poprzez robienie dobrze nielicznym kosztem milionów?

Joanna K., Warszawa

Komuny nie było

Wiem, że Pan Profesor Andrzej Werblan nie będzie się kopał z koniem, ale proszę nie używać słowa „komuna" na określenie ustroju PRL, bo to nieprawda, w Polsce komuny nie było, nawet ateistycznej. Religię miałam całą podstawówkę, procesja waliła środkiem przelotowego miasteczka Piaski Lubelskie (samochody czekały), śluby i chrzty kościelne były, sklepy prywatne były, ziemia prywatna itp. Więc pytam, gdzie ta komuna? Ale pierwszym prawdziwym komunistą był Jezus, który swoim zwolennikom kazał oddać wszystkie swoje dobra (…). Wkurza mnie więc mówienie na PRL komuna, ale bardzo chciałabym, żeby w Polsce był ustrój socjaldemokratyczny.

Grażyna Więckowska

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

„Podjąłem decyzję, żeby nie kontynuować pracy nad tego typu reformą i sprawę uważam z mojego punktu widzenia za zamkniętą” – nonszalancko ogłosił premier pytany o nowelizację ustawy o Państwowej Inspekcji Pracy. Lewica zdaje się nie składać projektu do grobu. Publikujemy dwugłos w tej sprawie.

Ustawa z powybijanymi zębami

Z końcem roku doszło do kolejnej batalii między premierem Donaldem Tuskiem a szefową resortu pracy Agnieszką Dziemianowicz-Bąk o uregulowanie umów cywilnoprawnych. Pracodawcy z sektora ochrony zdrowia wszczęli alarm, że przyznanie inspektorom pracy uprawnień do przekształcania umów cywilnoprawnych w etaty grozi destabilizacją pracy placówek medycznych oraz ograniczeniem świadczeń dla pacjentów. Ministerstwo Zdrowia nie widzi możliwości stworzenia specjalnych rozwiązań dla sektora ochrony zdrowia, które uchroniłyby go przed odgórnymi decyzjami PIP. Tymczasem te leżą niemalże w zasięgu ręki.

Krajowy Plan Otępienny

Rząd Mateusza Morawieckiego zobowiązał się w polskim KPO do ograniczenia segmentacji rynku pracy poprzez objęcie obowiązkowym ubezpieczeniem wszystkich umów cywilnoprawnych: zleceń, o dzieło i kontraktów B2B. Rząd Donalda Tuska w obawie o wyższe koszty przedsiębiorców i niższe dochody dla zleceniobiorców wynegocjował z Brukselą zmianę tego kamienia milowego. W zamian zaoferował zwiększenie kompetencji Państwowej Inspekcji Pracy i m.in. przekształcanie lipnych umów cywilnoprawnych w regularne etaty.

Polski rynek pracy upodobał sobie fikcyjne umowy śmieciowe. Według GUS na początku 2025 r. liczba jednoosobowych firm z dochodami płynącymi głównie z jednego źródła (tzw. B2B) sięgała 455 tys. Pięć lat wcześniej było ich 146 tys. – ponad trzy razy mniej.

Proceder ma dwa oblicza. Z jednej strony pracodawcy, licząc na niższe koszty po swojej stronie, wypychają kopami pracowników na umowy cywilnoprawne, pozostawiając ich bez wyboru. Z drugiej, zachęceni oszczędnościami składkowymi i podatkowymi pracownicy nierzadko sami decydują się założyć jednoosobową działalność gospodarczą i zawrzeć fikcyjną śmieciówkę. Według danych Ministerstwa Finansów lewe samozatrudnienie – czyli sytuacja, w której osoba formalnie prowadzi działalność gospodarczą i wystawia faktury B2B, ale w praktyce pracuje jak zwykły etatowy pracownik – generuje ponad 2 mld zł strat dla budżetu państwa rocznie. Pracownicy zaś – podobnie jak ci pracujący na umowie zleceniu – nie są objęci żadną ochroną, jaką oferuje kodeks pracy. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej chciało ten proceder ukrócić, nad czym pracowało niemalże od początku kadencji.

W kwietniu 2025 r. resort powołał specjalny zespół do reformy Państwowej Inspekcji Pracy. Już pierwsze próby uzbrojenia PIP w nowe narzędzia pokazały, że łatwo nie będzie. Zrezygnowano z pierwotnych planów natychmiastowej wykonalności decyzji o powstaniu stosunku pracy i obarczenia pracodawcy zapłatą zaległych składek ZUS. 4 grudnia Komitet Stały Rady Ministrów przyjął wykastrowany projekt ustawy. Dziemianowicz-Bąk dostała zielone światło. Mogło się wydawać, że do przyklepania sprawy zostały formalności – akcept rządu i głosowanie w sejmie i senacie. Nic bardziej mylnego.

30 grudnia na posiedzeniu rządu projekt został storpedowany przez Donalda Tuska. Premierowi miał się nie spodobać zapis, że to inspektor PIP mógłby wydawać decyzje administracyjne o przekształcaniu umowy. Tusk chciałby, by decydujący głos miał, jak dzisiaj, sąd. Sprawa ma jednak drugie dno. Nowe przepisy mogłyby wykoleić nie tylko lobby interesów Federacji Przedsiębiorców Polskich, ale i system państwowej ochrony zdrowia.

Doktorze, boli

W sektorze medycznym umowy cywilnoprawne (zwane ogólnie kontraktami) stały się powszechną formą zatrudnienia, zanim zrobiło się to modne. Według danych Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT) między 74,2 a 90 proc. lekarzy specjalistów (w zależności od specjalizacji) pracuje na umowie zleceniu lub prowadzi działalność gospodarczą. Umowy B2B są równie powszechne wśród np. ratowników medycznych czy pielęgniarek. Rozwiązanie to powstało z małżeństwa oszczędności na składkach i możliwości obłożenia kontraktowców znacznie większą liczbą godzin pracy niż etatowców. Tych ostatnich bowiem, jak wiadomo, obowiązuje Kodeks pracy.

System był błogosławieństwem dla dyrektorów szpitali, bo dopięcie grafików przy brakach kadrowych graniczyło z cudem. Braki kadrowe zaś brały się ze słabego dofinansowania placówek medycznych przez państwo, wskutek czego sektor prywatny drenował lekarzy z rynku. Później poszło z górki. Pojawili się lekarze na kontraktach, zostali potężnie obciążeni pracą, a skoro tak, to upomnieli się o wyższe wynagrodzenie. Otrzymali je. Równolegle zaczęły wchodzić zmiany przepisów dotyczące chociażby składek ZUS czy składki zdrowotnej, które lekarz przedsiębiorca płaci. Danina, którą płacił lekarz kontraktowy, rosła – rosły zatem jego oczekiwania finansowe, jak u każdego przedsiębiorcy. W międzyczasie zmieniły się również m.in. przepisy dotyczące zakresu odpowiedzialności osób udzielających świadczeń w ramach kontraktu NFZ, pojawił się harmonogram czasu pracy i ustawa o jakości świadczeń. Ostatecznie okazało się, że aby lekarz pracujący na kontrakcie mógł realizować świadczenia finansowane przez NFZ, musi spełniać takie normy wewnętrzne podmiotu, które wskazują na stosunek pracy.

Gdyby zatem – według przedstawionych przez minister Dziemianowicz-Bąk nowych przepisów – w placówce medycznej pojawiła się kontrola z PIP, doszłoby do mało zabawnej sytuacji: dobowa norma pracy dla lekarza na etacie (bez dyżuru) wynosi siedem godzin i 35 minut. Co więcej, jeśli lekarz zatrudniony na kontrakcie popełni błąd medyczny, pacjent może dochodzić roszczenia zarówno od niego, jak i od podmiotu leczniczego, który z lekarzem współpracuje. W praktyce szpitalni prawnicy odsyłają roszczenia o odszkodowania do kontraktowców albo wpisują numer ich polisy. Skoro spieprzył, niech płaci. W przypadku etatowców za błędy odpowiada placówka lecznicza.

Dla jasności: to nie reforma jest zła. To ulepiony przez dziesięciolecia system boleśnie się z nią zderzył. Ministerstwo Zdrowia bezradnie rozkłada ręce, ale najwyraźniej tylko z wygody.

Fiki i myki

Środowiska prawnicze i lekarskie wskazują, że gdyby MZ poważnie chciało poszukać oszczędności, a przy okazji zlikwidować słynne kominy płacowe, to w pierwszej kolejności powinno się zastanowić: co system ochrony zdrowia kupuje od specjalistów? Naturalnie ich umiejętności i potencjał intelektualny. W wielu przypadkach to koszty jednorazowego sprzętu i materiałów medycznych decydują o szczególnie wysokiej wycenie procedury. Te jednak od lat tanieją i jak mówią specjaliści, tendencja powinna się utrzymać. Gdyby AOTMiT dokonała retaryfikacji świadczeń medycznych, mogłoby się okazać, że niektóre z nich są niepotrzebnie zawyżone, podczas gdy inne niedofinansowane. W dużym uproszczeniu: dokonanie uczciwej wyceny świadczeń ze zidentyfikowaniem potencjału intelektualnego profesjonalistów medycznych w koszcie ich udzielenia mogłoby otworzyć drzwi dla zatrudniania na umowę o pracę.

Dziś jest tak, że szpitale wolą zatrudnić na kontrakt fachowca w najlepiej wycenianej dziedzinie, żeby nadwyżką dobrze opłaconych przez NFZ procedur załatać dziury budżetowe placówek. Stąd biorą się gigantyczne zarobki części lekarzy i inne patologie.

Zatrudnienie na etat (bądź jego część) wciąż mogłoby mieć charakter akordowy: stawkę podstawową plus dodatki za dyżury oraz system premiowy oparty o udział jego potencjału intelektualnego w świadczeniach zdrowotnych, przy których udzielaniu brał udział.

W sumie lekarz – tak czy inaczej – otrzymałby zadowalające wynagrodzenie. Zastosowanie tego samego mechanizmu wobec innych świadczeń kosztochłonnych z innych zakresów powinno doprowadzić do wyraźnego potanienia procedur medycznych, a w dalszej perspektywie – do przemodelowania systemu. Na to trzeba jednak czasu, a przede wszystkim chęci.

Wiewiórki donoszą, że otoczenie premiera zleciło badania sondażowe dotyczące przekształcania śmieciówek w umowy o pracę, a platformiany elektorat nie wydawał się pomysłem zachwycony. Biorąc pod uwagę mocno okrojone środki budżetowe dla Państwowej Inspekcji Pracy, rozszerzenie jej kompetencji, na jakimkolwiek etapie by się zatrzymało, odbędzie się wyłącznie na papierze. Głównie dla zamydlenia oczu Unii Europejskiej. Na razie projekt skierowano do korekty. Przypuszczenie graniczące z pewnością każe się domyślać, którego królika z kapelusza tłumaczeń tego stanu rzeczy wyciągnie za jakiś czas premier.

IDALIA DUBICKA

Legalne bezprawie pracy

Wyobraź sobie taką scenę: ktoś okrada sklep, policja przyjeżdża, interweniuje, potem działa prokurator, a na końcu sąd, bo prawo jest naruszone i aparat państwa ma obowiązek działać. Proste! A teraz przyjrzyjmy się, jak działa to w świecie pracy: prawo również jest naruszane – pracownik na fikcyjnym samozatrudnieniu wykonuje obowiązki jak etatowiec, ale bez praw etatowca – i nagle państwo przygląda się przestępcom z wyrozumiałością...

A przecież mamy tu Państwową Inspekcję Pracy, której jednak nie daje się, tak jak w wielu innych krajach Europy, narzędzi do natychmiastowej reakcji. To tak jakby łamanie prawa pracy nie było przestępstwem, a czymś niewartym zdecydowanego działania. Dlaczego kradzież towaru jest przestępstwem, a kradzież urlopu, bezpieczeństwa i składek emerytalnych, i – przecież także – podatku należnego państwu nie jest?

Podobno na posiedzeniu rządu doszło do awantury. Póki co nie widać, aby ministra Agnieszka Dziemianowicz-Bąk była w stanie wyjść z tej potyczki z honorem. Mimo że Nowa Lewica jest w rządzie, to nadal nie ma komu postawić oporu fali śmieciówek i sprostać temu, czego słusznie wymaga w swej dyrektywie Unia Europejska. Donald Tusk zachowuje się jak konfederata. Podlizuje się tzw. przedsiębiorcom. A przecież działa wbrew deklarowanej przez siebie praworządności. Bo czyż nie jest bezprawiem systemowe tolerowanie łamania obowiązującego prawa pracy – tego, które już teraz w kodeksie pracy czarno na białym mówi, że praca wykonywana pod kierownictwem, w miejscu i czasie wyznaczonym przez pracodawcę, to praca etatowa.

Projekt ustawy Lewicy nie zabraniał współpracy w formule B2B. Jasne, że wykonywanie zadań typu umowa zlecenie czy umowa o dzieło powinno być możliwe. Ale wiadomo też, że to biznes wymusza na ludziach tego typu współpracę dla własnej korzyści. To fikcja prawna służąca cięciu kosztów.

A premier? Zamiast to przerwać, rozgląda się za sposobem, jak od tego uciec. Decyzja Tuska o zatrzymaniu ustawy wygląda jak gorączkowe szukanie furtki, żeby wymigać się od europejskich standardów, które mogłyby realnie wzmocnić ludzi pracy. Znany schemat polityków: przeciągnąć, złagodzić, rozmyć. Zostawić sedno nienaruszone. W tle pobrzmiewa stary, dobrze znany refren: nie drażnić biznesu. Ta filozofia była strategią rządów PO–PSL w czasie ośmiu lat sprawowania rządów zakończonych utratą władzy w 2015 r. Czy ci ludzie nie zadają sobie czasem pytania „dlaczego przegraliśmy”? Może warto było wtedy (a także dziś) postawić na dbałość o pracowników?



Rys. JANUARY

Tusk od początku swojej obecnej kadencji, także wcześniej, z zadziwiającą konsekwencją broni swej idée fixe: nie dopuścić do zrównania podatkowego umów B2B z etatami. A teraz, gdy Unia Europejska jasno mówi o domniemaniu stosunku pracy, o wzmocnieniu inspekcji i końcu niewłaściwej klasyfikacji zatrudnienia, rząd nagle zaczyna kręcić się niespokojnie na krześle. Jakby sens dyrektywy był zbyt prosty: wreszcie trzeba będzie naprawdę stanąć po stronie pracowników – nie tylko w retoryce wyborczej.

Przyjrzyjmy się skutkom, nie tylko społecznym, ale także ekonomicznym. Fikcyjne B2B i śmieciówki to nie tylko dramat jednostek – to dziura w systemie. Ucieczka od składek osłabia ZUS, destabilizuje emerytury, ogranicza wpływy podatkowe państwa – pieniądze, które potem trzeba znaleźć w oszczędzaniu na zdrowiu, edukacji, usługach publicznych.

To olbrzymia redystrybucja w górę: pracownicy tracą ochronę i bezpieczeństwo, budżet traci dochody, a część firm buduje przewagę na łamaniu prawa. Państwo taniej pracy staje się drogim państwem zdewastowanych usług publicznych.

A gdyby było tak, że inspektor PIP wchodzi do firmy i przywraca praworządność... Decyzja działa od razu. Pracownik zyskuje urlop, chorobowe, składki, a państwo – pieniądze, które mu się należą. Czy to naprawdę rewolucja? Nie, to tylko egzekwowanie prawa tak, jak państwo egzekwuje je w setkach innych dziedzin. Ale właśnie tutaj władzy drży ręka. Bo tu dotyka się świętego cielca „elastyczności”, który tyle razy okazywał się po prostu taniością kosztem ludzi.

Tusk może mówić, że to tylko chwilowe zatrzymanie. Może... Ale my widzimy strategię: przedłużać, rozwadniać, układać się, szukać wyjątku od unijnych zobowiązań tak, by wszystko zostało po staremu, a słowa brzmiały nowocześnie. Tymczasem życie toczy się dalej: tysiące ludzi boją się chorować, bo nie mają chorobowego, miliony odkładają na emeryturę mniej, niż myślą.

W latach 2007–2015 (rządy PO–PSL) zlikwidowano 74 sądy pracy. A teraz te, które zostały, toną w sprawach, które mogłyby być rozstrzygnięte decyzją inspektora przywracającego prawo od razu.

Wracamy więc do punktu wyjścia: prawo już istnieje, wystarczy je egzekwować. Trzeba tylko odpowiedzieć na jedno krótkie, ale niewygodne pytanie: po której stronie stoi państwo? Jeśli po stronie pracy, to wzmocnienie PIP i realna walka z fikcją zatrudnienia są oczywistością. Jeśli po stronie świętej „konkurencyjności” mierzonej w skradzionych urlopach i nieopłaconych składkach, to będziemy dalej udawać, że dyrektywy są zbyt ambitne.

I wtedy zostanie nam tylko natrętna myśl: nie brakuje nam prawa. Brakuje odwagi, by prawo pracy było naprawdę prawem – i brakuje rozumu, aby zrozumieć, że takie działanie to woda na młyn politycznej opozycji. Czarno widzę skutki najbliższych wyborów parlamentarnych!

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

ETYKA BEZBOŻNA

Śmiercionośny „czynnik ludzki”



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Powinność roztropności

Rok powitał nas wiadomościami, od których kręci się w głowie. Atak USA na Wenezuelę każe po raz kolejny postawić pytanie, co wolno mocarstwom i co począć z dyktatorami. Jak wyważyć między poszanowaniem suwerenności państwa i bezpieczeństwema moralną powinnością zwalczania zbrodniczych reżimów? Tyle że akurat tu chodzi o ropę, a nie o moralność.

Tym, co przyszło mi do głowy od razu, gdy rankiem w Nowy Rok przeczytałem o tragedii w Szwajcarii, był dziwny kontrast między przysłowiowym wręcz bogactwem tego regionu i skalą całego nieszczęścia. Jak to, w Szwajcarii?

Wcześniej natomiast dotarła do nas wiadomość o tragicznym pożarze w szwajcarskim kurorcie Crans-Montana, gdzie w noc sylwestrową dosłownie spaliło się żywcem prawie pół setki ludzi, a ponad dwa razy tyle z poparzeniami trafiło do szpitali. Jest coś niesamowitego w powtarzalności tego typu dramatów, które po prostu raz na kilka lat się wydarzają, i to nawet w krajach zamożnych.

Jak to jest, że bogactwo i idące za nim wysokie standardy techniczne wszelkiej działalności nie wystarczają, aby chronić ludzi przed straszliwymi wypadkami, i to nie takimi, które wynikałyby z warunków atmosferycznych, jak powódź czy wielkie pożary lasów, lecz takimi mniej lub bardziej, jak to się mówi, „zawinionymi przez czynnik ludzki”? To wielka kwestia – nie tylko dlatego, że zdarzają się wielkie nieszczęścia, lecz również z powodów teoretycznych. Bo w takich przypadkach winowajców jest wielu, a bywa, że żaden z nich nie jest winowajcą kluczowym, takim, którego można by wskazać palcem i powiedzieć: „to przez ciebie ci ludzie zginęli”. I faktycznie, w końcu mówi się o nieszczęśliwym zbiegu okoliczności i wypadku, połączonym z pewnymi zaniedbaniami. Ktoś dostaje jakiś niewielki wyrok w zawieszeniu, zaostrza się przepisy i kontrole – i na tym sprawa się kończy. A za kilka lat znowu to samo. Bo życie zawsze jakoś trochę inaczej płynie niż w przepisach. I w dodatku nie ma na to rady.

Cóż to? Czyżby oni nie mieli tych wszystkich przepisów przeciwpożarowych, pozwoleń, inspekcji, gaśnic, alarmów i czego tam jeszcze potrzeba? A może właśnie nie do końca to wszystko mają, bo nie należą do Unii Europejskiej, która ma wszystko uregulowane i nawet przeregulowane, lecz są małym krajem na uboczu, może nieco mniej restrykcyjnym w sprawach bezpieczeństwa? Łatwo to sprawdzić – okazało się, że nie. Z grubsza wszystko jest tam podobnie jak w sąsiednich alpejskich regionach. Teoretycznie nic nie mogło się stać.

A jednak się stało. Ognie bengalskie na butelkach szampana niesionych przez kelnerkę siedzącą na ramionach innej kelnerki zapaliły łatwopalne dekoracje, a następnie piankę akustyczną wyścielającą nisko położony sufit; wąskie schody uniemożliwiły sprawną ewakuację, gdy zaczął się pożar; główne drzwi były zamknięte. Ot, banał. Jakaś pianka, sztuczne, lecz jednak gorące ognie… A gdzie gaśnice? Gdzie dopasowanie liczby gości do szerokości schodów? A te drzwi, które trzeba było wyważać? No właśnie, gdzie to, gdzie tamto? Za każdym z tych pytań stoi ciąg wydarzeń. Ktoś zgłosił jakiś remont albo nie zgłosił. Ktoś sprawdził coś albo nie. Ktoś podpisał jakąś zgodę, choć nie powinien, a może wcale nie sprawdził? Ktoś nie pomyślał, że jednak ognie bengalskie to może przesada, a może pomyślał i machnął ręką? Ale są jeszcze pracownicy hotelu, którzy wszak robią, co im każą, lecz w zasadzie… mogliby coś powiedzieć. Ale pewnie nie powiedzieli. I są sami goście, którzy też mogliby wykrzesać z siebie głos rozsądku.

A może jednak wszystko było „w granicach rozsądku” i w ogóle nikomu nie przyszło do głowy, że zabawa jest niebezpieczna i warto by ująć jej nieco ognia? To również jest możliwe. Bo te słynne granice słabo są na mapie mentalnej widoczne. Rozsądek zwykle siedzi cicho, dopóki go o zdanie nie pytać. Ale jak się już pyta, to zwykle okazuje się, że ten skromny ludzik, zagrzebany głęboko pod naszymi emocjami, ma do powiedzenia rzeczy irytujące. Mówi „nie”, „nie warto”, „to jednak zbyt ryzykowne”. A my nie lubimy marudzenia, więc nie pytamy.

Nakaz odwoływania się do rozsądku jest częścią wielkiej cnoty roztropności. Roztropność to ogólnie pojęta zdolność kierowania się rozumem w działaniu. Może to być jakiś wielki rozum, łącznie z wiedzą naukową, lecz w codziennym życiu chodzi zwykle o ten mały rozumek, rozumek bazowy, który to właśnie nazywamy zdrowym rozsądkiem. I chyba można powiedzieć, że mieć ten rozsądek i używać go to surowy nakaz i obowiązek moralny każdego człowieka. Co najmniej tak samo ważny jak obowiązek stosowania się do przepisów prawa, na przykład przeciwpożarowych. I rzecz ciekawa – zdrowy rozsądek nie zależy od bogactwa. Najwyraźniej Szwajcarzy też mogą go mieć trochę za mało.

A co z tą odpowiedzialnością? Wielu małych winowajców, wiele małych win, a nieszczęście ogromne! Jak to pogodzić? Wydaje się, że niedostatki rozsądku i odpowiedzialności to właśnie takie małe winy, bo co to za zło: nie pomyśleć? I słusznie się wydaje. Zło moralne najpierw mierzy się intencjami i poziomem cnót tych, którzy stali się jego sprawcami, a dopiero potem skutkami. Bo intencje były, jakie były, a mogły być lepsze, natomiast skutki też były, jakie były, ale mogły być niewinne. Gdyby ta dziewczyna trzymała flarę kilka centymetrów niżej… Myślę o niej. Jest winowajczynią. Lecz jest też zapewne ofiarą. Mam jej nie żałować?

Małe ludzkie niedoskonałości prowadzą czasami do wielkich tragedii. Takie jest życie i przyjęcie tego do wiadomości również jest pewną moralną powinnością. Trafiło na nią. Stało się, taki los. Jest ważna mądrość w tych popularnych powiedzeniach, prawda?

JAN HARTMAN

Odrobinę optymistyczne spojrzenie na przyszłość Wenezueli

Porwanie prezydenta Wenezueli połączone z wymordowaniem kilkudziesięciu osób z jego obstawy zrobiło niejakie wrażenie nawet na służalczych zwykle wobec USA polskich elitach. Przynajmniej na początku. Rychło jednak komentariat ruszył z redukcją dysonansu poznawczego. Usłyszeliśmy, że Maduro sam sobie na to zasłużył, bo był dyktatorem – a tak w ogóle, to co złego, to nie Stany Zjednoczone, tylko Trump osobiście.

USA – imperium zła

Więc dla porządku: to, czy Nicolás Maduro jest, czy nie jest dyktatorem, nie ma tu żadnego znaczenia. W prawie międzynarodowym nie ma obowiązku bycia państwem demokratycznym. Na świecie istnieje obecnie sześć monarchii absolutnych, będących pełnoprawnymi podmiotami prawa międzynarodowego. Nawiasem mówiąc, cztery z nich (Arabia Saudyjska, Brunei, Katar, Oman) są strategicznymi sojusznikami USA, piąta – Eswatini – jest przez obecną administrację opłacana za przyjmowanie ludzi nielegalnie porwanych z amerykańskich ulic przez policję migracyjną, a szósta to Watykan rządzony przez obywatela USA.

Ale ważniejsze jest co innego: otóż tu naprawdę nie chodzi o zło czynione przez Trumpa. Żyjemy w strefie wpływów imperium, które jest krajem bandyckim – i to nie od 3 stycznia 2026 r.

Na nadzwyczajnym posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ, zwołanym w dwa dni po amerykańskiej napaści na Wenezuelę, z właściwą sobie bezpośredniością przypomniał o tym prof. Jeffrey Sachs szefujący działającej pod auspicjami sekretarza generalnego ONZ Sieci Rozwiązań na rzecz Zrównoważonego Rozwoju ONZ (SDSN) – co jest skądinąd świadectwem imponującej odwagi i niezależności Antónia Guterresa.

– Pozwólcie, że przestawię kontekst – powiedział Sachs, a od strony delegacji amerykańskiej dobiegło ciężkie westchnienie. Po czym amerykański uczony przypomniał 70 amerykańskich operacji zmiany reżimu w suwerennych krajach w latach 1947–1989 – a także te, których USA dopuściły się bez zgody Rady Bezpieczeństwa ONZ już po zakończeniu zimnej wojny: w Iraku (2003), Hondurasie (2009), Libii (2011), Syrii (od 2011), na Ukrainie (2014) i w końcu w Wenezueli, gdzie zabiegi zakończone porwaniem z soboty zaczęły się od nieudanego zamachu stanu w roku 2002.

– Stosowane przez USA metody obejmują: otwartą wojnę, tajne operacje wywiadowcze, wzniecanie niepokojów społecznych, wsparcie grup zbrojnych, manipulowanie mediami masowymi i społecznościowymi, przekupywanie urzędników cywilnych i wojskowych, zabójstwa na zlecenie, operacje pod fałszywą flagą oraz wojnę gospodarczą mającą na celu załamanie życia społecznego – wyliczył Sachs. I na okrasę przypomniał, że tylko w tej kadencji Trump zbombardował siedem krajów: Iran, Irak, Nigerię, Somalię, Syrię, Jemen i Wenezuelę.

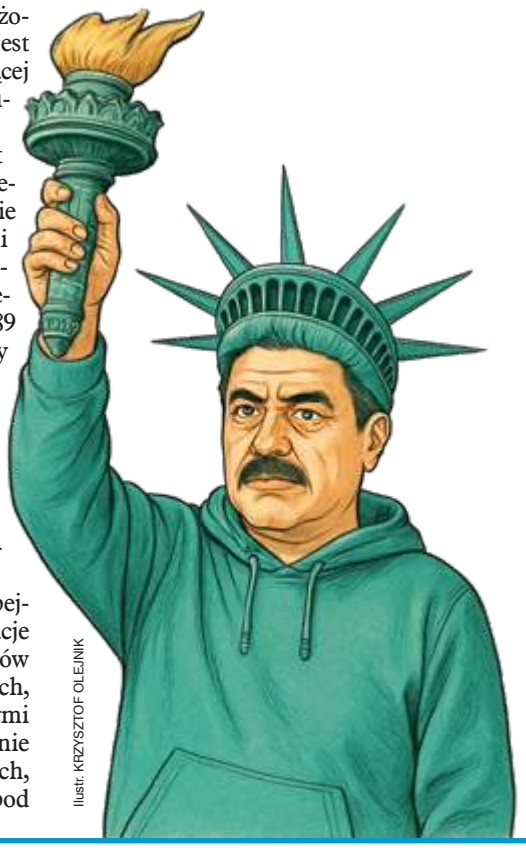
Boliwariański Mannerheim

Po tym ponurym wstępie – pozwólcie na trochę optymizmu.

Z dużym rozbawieniem wsłuchuję się w głosy zachodnich polityków i komentatorów (u nas podobną myśl wygłosił np. przenikliwy ekspert do spraw międzynarodowych poseł Szejna), którzy nie lubią Trumpa i dostrzegają nielegalność jego napaści na suwerenny kraj – ale nie chcą wyjść na obrońców „komunistycznego dyktatora”. Przebiegle znaleźli więc retoryczny kij na Trumpa – który nie jest jednocześnie głosem w obronie Maduro. Obowiązujący przekaz brzmi: i co z tego, że Trump usunął Maduro, skoro zostawił całą strukturę władzy wokół niego z wiceprezydent Delcy Rodríguez na czele? Co odważniejsi dodają jeszcze – w tonie specyficznej moralności sprowadzającej się do tezy, że imperializm nie jest taki zły, jeśli jest skuteczny – że umocowanie w Wenezueli rządu marionetkowego miałoby sens, ale ten władca marionetek za mało od swojej marionetki żąda.

Mam dziwaczną myśl: może coś w tym jest?

Mój guru od historii prof. Andrzej Werblan często przywołuje postać Carla Gustafa Mannerheima: naczelnego dowódcy fińskich sił w wojnie zimowej z ZSRR. Mannerheim miał dość odwagi i wizji, żeby porozumieć się ze Stalinem w sposób, który – owszem – przewidywał



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nieortodoksyjny pokój w Gazie

Jak izraelski ogon macha amerykańskim psem

UNICEF oraz Polska Akcja Humanitarna alarmują, że w Strefie Gazy panują ekstremalne warunki humanitarne. W grudniu w wyniku ulewnych deszczy, powodzi, zawaleń uszkodzonych wojną budynków oraz hipotermii i zimna zginęło co najmniej 20 osób. Zima w regionie jest surowa. Trudne warunki pogłębiają kryzys, zwiększając zapotrzebowanie na paliwo niezbędne dla przepompowni ścieków i odprowadzania wód opadowych. Tymczasem Izrael zawiesił działalność ponad 37 agencji pomocowych w Strefie Gazy i kręci Donaldem Trumpem jak śmigłem, żeby samodzielnie przejąć władzę nad regionem.

Z deszczu pod gówno

Wśród 37 organizacji, którym Izrael cofnął licencję na działalność lub jej nie przedłużył, są m.in. Lekarze bez Granic (MSF), Oxfam, Norwegian Refugee Council, International Rescue Committee czy Caritas. Decyzja weszła w życie 1 stycznia 2026 r., a organizacje muszą całkowicie zakończyć aktywność do 1 marca. Izraelskie Ministerstwo ds. Diaspory poinformowało w komunikacie, że wielokrotnie ostrzegało NGO-sy o nowych wymogach rejestracyjnych. Przedstawiciele organizacji pozarządowych stanęli jednak okoniem, bo wymogi Izraela były sprzeczne z europejskimi przepisami o ochronie danych i mogły narazić ich pracowników na niebezpieczeństwo. „Izrael jest nie tylko stroną konfliktu, ale zabił setki pracowników organizacji pomocowych w Strefie Gazy. Dlatego przekazanie im nazwisk naszych pracowników jest dla nas ryzykowne” – powiedziała Shaina Low z Norwegian Refugee Council w rozmowie z CBC Radio.

Podwładni Bibiego zażądali od NGO-sów pełnego ujawnienia danych personelu (w tym palestyńskich pracowników), źródeł finansowania i struktur operacyjnych. Ponadto ustanowiono kryteria polityczne, takie jak uznanie Izraela za państwo żydowskie i demokratyczne

oraz zakazano jego delegitymizacji. Oczywiście wszystko w celu zapobiegania infiltracji organizacji przez grupy terrorystyczne (np. Hamas czy Islamski Dżihad) i ochronę integralności pomocy humanitarnej. Przykładowo o zatrudnianie osób powiązanych z takimi grupami oskarżono Lekarzy bez Granic…

Niemal milion osób w Gazie mieszka w namiotach w fatalnych warunkach życiowych. Rozmowy o drugiej fazie wynegocjowanego przez Donalda Trumpa zawieszenia broni raczej nie poprawią ich losu. Netanjahu robi wszystko, żeby przesunąć wajchę na swoją stronę.

Z mydłem

W październiku podpisano porozumienie, które w wielu punktach było delikatnie mówiąc, ogólnikowe. Plan Trumpa mówi o drugiej fazie ugody, w której władza w Strefie Gazy ma przejść z rąk Hamasu do technokratycznego rządu palestyńskiego ze wsparciem międzynarodowym. Nie wymusza jednak na stronach żadnych terminów czy negocjacji. To zresztą idealnie wpisuje się w strategię działania prezydenta USA – interesują go przyklepane w blasku fleszy frazesy, reszta przestaje być istotna. 21 grudnia główni negocjatorzy – Turcja, Katar, Egipt i USA – wydali wspólne oświadczenie, z którego wynika jedynie tyle, że apelują o przestrzeganie zawieszenia broni.

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Czy Delcy śpi z Donaldem



Rys. MAURIZIO DI BONA

Wejście w otwartą wojnę z USA oznacza dla Wenezueli apokalipsę. Ulegnięcie przed przemocą da Boliwariańskiej Republice szansę na to, żeby – jak zwykli mówić Amerykanie – *live to fight another day*. Czyli przeżyć dziś, żeby podjąć walkę jutro.

Za trzy lata w Białym Domu może znaleźć się kto inny – może nawet „demokratyczny socjalista"; zwycięstwo Zohrana Mamdaniego w Nowym Jorku dowodzi, że takie zwycięstwa są możliwe. A jeśli nawet nie – to może po prostu demokrata: przedstawiciel partii, której kolonialna polityka przeważnie była znacznie bardziej zawoalowana niż otwarta agresja neokonserwatystów. Coś może się zmienić na lepsze. Ale przekonają się o tym tylko ci, którzy dożyją.

wał duże ustępstwa terytorialne i uznanie radzieckiej hegemonii w obszarze polityki zagranicznej i wojskowej, ale za to pozwolił Finlandii zachować pewną niezależność i odrębność ustrojową.

Odrębność ustrojowa Wenezueli nazywa się *chavismo*. To radykalna zmiana nie tylko systemu gospodarczego, ale także filozofii funkcjonowania państwa: ze służącego interesom nielicznych na pracujące dla dobra wszystkich.

Często w tych dniach słyszeliśmy, że przed objęciem władzy przez Hugo Cháveza Wenezuela „była jednym z najbogatszych krajów" Ameryki Łacińskiej albo i świata. Ale współczynnik Giniego (badający nierówności społeczne) wynosił zawrotne 50,7 pkt., co umieszczało ją w gronie najbardziej niesprawiedliwych krajów świata. Po dekadzie rządów Cháveza – spadł poniżej 40. Liczba osób żyjących poniżej granicy ubóstwa skrajnego (2,5 dol. dziennie) zmalała w tym czasie z 37 do 14 proc. Rewolucja boliwariańska opierała się na założeniu, że największe zasoby ropy na świecie winny służyć całemu społeczeństwu. Zyski ze znacjonalizowanego przemysłu wydobywczego Chávez przeznaczał na olbrzymie programy społeczne: walkę z głodem i analfabetyzmem, stworzenie 10 tys. darmowych klinik, powszechne szczepienia, budowę tanich mieszkań itp.

Maduro to nie Chávez – ale jednak prezydent

I zgoda: wiele z tych rewolucyjnych programów było realizowanych w sposób nieefektywny, trawionych przez marnotrawstwo i korupcję. Do tego dochodziło złe zarządzanie i zaniedbania techniczne w upaństwowionym koncernie wydobywczym Petróleos de Venezuela, który był jedynym źródłem ich finansowania – a także tragicznie krótkowzroczne oparcie całego państwa na jednym surowcu. Chávez, przed swoją śmiercią w 2013 r., mówił o konieczności dywersyfikacji wenezuelskiej gospodarki – ale nigdy do niej nie doszło.

Maduro – to trzeba sobie szczerze powiedzieć – nie jest Chávezem. Poprzedni prezydent Wenezueli był charyzmatycznym wizjonerem uwielbianym przez lud na pohybel elitom; przez 14 lat swoich rządów wygrał 13 z 14 przeprowadzonych w tym czasie wyborów i referendów. I nie da się ukryć: zwycięstwo Maduro w 2024 r. kwestionował nie tylko kolektywny Zachód; poważne wątpliwości zgłaszały też państwa regionu rządzone przez lewicę. Amerykańscy eksperci ocenili, że Maduro przegrał stosunkiem głosów 31 do 66 proc. (co akurat jest udowodnione w tym samym stopniu co oficjalny wynik 52 do 43 proc. na rzecz urzędującego prezydenta).

Tym niemniej zaprawdę nie wiadomo, skąd kolektywny Zachód bierze informację, że „większość" – albo wręcz „miażdżąca większość" – obywateli Wenezueli raduje się z porwania Maduro przez siepaczy Trumpa. Żadnych wiarygodnych sondaży nie ma, a już na pewno nie zrobiono ich po 3 stycznia. Wiadomo za to, że na ulice wenezuelskich miast wyszły wielotysięczne manifestacje w obronie prezydenta. Co tak naprawdę nie dziwi. Bo serio, i to

pytanie do Czytelników „NIE" i innych antypisistów: gdyby Putin porwał Nawrockiego – nie wyszlibyście na ulicę w proteście? Bo ja tak. A nie kocham ani Nawrockiego, ani Polski. Ale kolonialna agresja bandyckiego imperium ma tendencję do budzenia w zaatakowanych patriotyzmu.

A USA naprawdę cieszą się w Ameryce Południowej powszechną i zasłużoną nienawiścią. Popularny dowcip z regionu brzmi: „Dlaczego w Stanach nigdy nie było wojskowego puczu? Bo tam nie ma ambasady amerykańskiej".

Wietnam Trumpa?

Trzeba też wiedzieć, że rząd Maduro od paru miesięcy – mniej więcej od kiedy Trump zaczął mordować wenezuelskich rybaków – rozdawał broń cywilom. 4 mln Wenezuelczyków należą do Milicji Boliwariańskiej, czyli takiego ichniego WOT. To oczywiście nie jest wojsko zdolne stawić czoła US Army – ale też nie takie jest jego zadanie. Rządowy koncept obrony via lud zbudowany był na idei „przedłużonego oporu" i „anarchizacji" – zgodnej z latynoską tradycją miejskiej partyzantki, która nawet po angielsku nosi hiszpańską nazwę: *guerilla*. Nikt nie ma wątpliwości, że gdyby Trump zdecydował się na operację lądową – *boots on the ground*, jak nieco dosłownie nazywają to Amerykanie – zdobędzie Wenezuelę w parę dni. Ale pomiędzy zdobyciem i skutecznym okupowaniem kraju jest wielka różnica – o czym choćby w Afganistanie przekonali się zarówno Rosjanie, jak i Amerykanie. Którzy zresztą powinni byli tę lekcję wyciągnąć z Wietnamu.

Okupacja Wenezueli spowodowałaby powrót bardzo wielu „naszych chłopców" w workach na zwłoki. Ci chłopcy (i dziewczyny) – byliby to wyborcy i dzieci wyborców Trumpa, który opiera się na elektoracie ubogim, słabo wykształconym, za to wysoce patriotycznym. Czyli takim, który najchętniej idzie do wojska.

Ten elektorat może być w jakiejś części zachwycony kowbojską akcją w Caracas – choć ruch MAGA jest w tej kwestii wyraźnie pęknięty; akcję pochwalają niespełna dwie trzecie wyborców republikanów (w ogólnej populacji za jest 33 proc., przeciw – 34). Ale wysłanie wojsk lądowych do Wenezueli byłoby dla Trumpa politycznym samobójstwem. I raczej nie zyskałoby aprobaty Kongresu – której prawo stanowczo wymaga (co akurat niekoniecznie musi Donalda obchodzić, ale jednak).

W sumie, logicznie rzecz biorąc, niebezpieczeństwo realnej okupacji Wenezueli przez wojska USA jest relatywnie niewielkie. Ale z drugiej strony – Donald Trump kilkukrotnie oświadczył, że planuje rządzić Wenezuelą. Zważywszy że Przywódca Wolnego Świata jest niezrównoważonym dementem z narcystycznym zaburzeniem osobowości – nie da się tego tak całkiem wykluczyć.

Live to fight another day

Zupełnie szczerze: gdzieś na poziomie jaszczurzego mózgu myśl o osobistym Wietnamie Trumpa budzi we mnie radość graniczącą z ekstazą. Ale wojna ma to do siebie, że giną w niej ludzie. Po obu stronach. A ta akurat byłaby przerażająco dosłowną ilustracją niezapomnianego wiersza Tuwima: „Wiedz, że to bujda, granda zwykła, gdy ci wołają: »Broń na ramię!«, że im gdzieś nafta z ziemi sikła i obrodziła dolarami"…

Dlatego decyzja Delcy Rodríguez, która złagodziła ton w pełni zasadnego oburzenia i deklaruje gotowość do rozmów z gangsterem, który porwał jej szefa – nie jest, w mojej opinii, przejawem tchórzostwa czy zdrady. Jest głosem odpowiedzialnego przywódcy, który kieruje się dobrem kraju i obywateli. Który – jak Mannerheim – bierze na siebie odium klęski (znacznie boleśniej odczuwane w maczystowskiej kulturze Ameryki Łacińskiej), żeby jego ludzie nie musieli ginąć.

Taki przywódca stara się ocalić to, co się da: tożsamość ustrojową, maksimum niezależności, a przede wszystkim tzw. substancję narodową – i czeka na lepsze czasy.

Czy dopuszczenie amerykańskich korpogangsterów do eksploatacji wenezuelskiej ropy, najpewniej związane z jakimś stopniem prywatyzacji przemysłu, oznacza zgodę na grabież i kolonialny wyzysk? Oczywiście, że tak. Ale tak to działa. Kiedy pozbawione skrupułów mocarstwo napada na wielokrotnie mniejszy i słabszy kraj – nie ma mowy o sprawiedliwości.

Realizm kontra imperializm

John Mearsheimer, twórca bardzo cynicznej teorii realizmu ofensywnego, od początku konfliktu rosyjsko-ukraińskiego powtarza brutalną prawdę: kiedy jest się niewielkim i słabym krajem jak Ukraina i żyje się koło takiego imperium jak Rosja, to trzeba zwracać uwagę na to, czego to imperium sobie życzy, bo konsekwencje lekceważenia mogą być bardzo bolesne.

W kilku wywiadach, jakich udzielił od napaści Trumpa na Wenezuelę, Mearsheimer odnotował – nie bez racji – że sytuacja Ukrainy i Wenezueli jest różna. Przystąpienie Ukrainy do NATO w rzeczywisty sposób mogło zagrażać bezpieczeństwu Rosji – podczas gdy Wenezuela naprawdę nie stanowi żadnej groźby dla USA. Z punktu widzenia doktryny Monroego – mówi Mearsheimer – atak na Wenezuelę nie ma sensu, bo w erze globalizacji doktryna ta może dotyczyć jedynie militarnych sojuszy, nie zaś współpracy gospodarczej; a taki charakter miały stosunki między Wenezuelą i Rosją czy Chinami. Toteż – dodaje uczony – napaść na Wenezuelę jest klasycznym przypadkiem imperializmu.

I nie sposób się nie zgodzić. Ale mam też wrażenie, że wybitny intelekt Mearsheimera źle znosi zdemenciały narcyzm przywódcy jego kraju – stąd trudność w spojrzeniu na wenezuelski problem z taką ostrością, jaką wykazuje w ocenie sytuacji rosyjsko-ukraińskiej. W sprawie Wenezueli politolog bardziej skupia się na zażenowaniu działaniami swojego prezydenta, a mniej – na produktywnym myśleniu o przyszłości.

Oczywiste jest, że napaść Trumpa na Wenezuelę – podobnie jak napaść Putina na Ukrainę – była nielegalna, niemoralna i niemądra. Ale się wydarzyła. Jest rzeczywistością. Teraz najważniejsze jest pytanie: co dalej?

Być może jest po prostu tak, że Wenezuela zrobiła to, co Ukraina powinna była zrobić: uniknęła wojny z brutalnym imperium. Kosztem bolesnych ustępstw i – dość abstrakcyjnego w stosunkach międzynarodowych – „honoru" ocaliła naród przed hekatombą, a kraj przez zniszczeniem.

Trzymam kciuki za prezydent Delcy Rodríguez.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Co prawda intensywność izraelskich ataków i średnia liczba ofiar zmniejszyły się, ale izraelska armia dalej regularnie przeprowadza naloty w Strefie Gazy. Hamas natomiast nie zgadza się na złożenie broni bez gwarancji, że wojna do Gazy nie wróci. Z końcem roku amerykański prezydent dał jasny sygnał, że żadne mediacje w tej kwestii go nie interesują. 29 grudnia w rezydencji Mar-a-Lago na Florydzie doszło do spotkania Donalda Trumpa z premierem Binjaminem Netanjahu. Prezydent USA powiedział, że „nie martwi się" działaniami Izraela, co więcej, uznał, że cesarstwo Bibiego w 100 proc. wywiązało się z planu. Dla porządku warto przypomnieć, że od czasu wprowadzenia rzekomego rozejmu w wyniku działań wojsk Izraela zginęło 420 Palestyńczyków. Trump zaznaczył też, że Hamas „otrzyma bardzo krótki czas" na rozbrojenie, i ostrzegł, że jeśli to się nie stanie, inne kraje, które poparły plan zawieszenia broni, „pójdą i go zgładzą". To nie tylko sygnał, że Izrael ma wolną rękę co do tego, jak postępować z Hamasem w obecnej, przejściowej fazie porozumienia, ale też przepis na eskalację i powrót do regularnej wojny.

Spotkanie liderów USA i Izraela przebiegło w tak czułej atmosferze, że prosiło się o przygaszenie świateł i zamknięcie drzwi. Podczas konferencji Netanjahu ogłosił, że Donald Trump otrzyma Nagrodę Izraela – najważniejszy i najbardziej prestiżowy państwowy laur, przyznawany w dziedzinie sztuki, kultury i nauki. Ponieważ wyróżnienie przez blisko 80 lat istnienia nie zostało przyznane osobie spoza tego kraju, Bibi wspomniał o utworzeniu na tę okoliczność nowej konwencji. Lider USA dostąpi zaszczytu w maju, za „ogromny wkład w rozwój Izraela i narodu żydowskiego". Przy okazji miło się złożyło, bo również 29 grudnia amerykański koncern lotniczy Boeing przyjął od Pentagonu zlecenie o wartości do 8,58 mld dol. w celu realizacji dostaw myśliwców wielozadaniowych F-15IA do Izraela.

Bez mydła

O tym, że Netanjahu kręci Trumpem wedle własnych upodobań, świadczy nie tylko kwestia przejęcia kontroli nad porozumieniami w sprawie Strefy Gazy. 26 grudnia 2025 r. Izrael stał się pierwszym krajem na świecie, który formalnie uznał Somaliland za niezależne i suwerenne państwo. Somaliland to islamska republika leżąca we wschodniej Afryce nad Zatoką Adeńską. W 1991 r. ogłosiła secesję od Somalii i od tamtej pory zdołała zbudować funkcjonujący organizm państwowy. Premier Netanjahu podpisał wspólną deklarację z prezydentem Somalilandu Abdirahmanem Mohamedem Abdullahem w duchu Porozumień Abrahamowych.

Tzw. Abraham Accords zostały zainicjowane i wynegocjowane podczas pierwszej kadencji Trumpa w 2020 r. Obejmowały one normalizację stosunków dyplomatycznych między Izraelem a kilkoma wpływowymi państwami arabskimi: najpierw Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Bahrajnem, a później dołączyły Maroko i Sudan. Po geście Bibiego zapowiedziano otwarcie ambasad, współpracę w kwestiach bezpieczeństwa, technologii i rolnictwa. Somalia nazwała ten ruch nielegalnym atakiem na suwerenność. Unia Afrykańska, Turcja, Egipt, Arabia Saudyjska, Jemen i wiele innych krajów arabskich dostało wkurwu i ostrzegało przed destabilizacją Rogu Afryki. Do chóru niezadowolonych dołączyły też Chiny. Zwołano nawet nadzwyczajne posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ. Skąd ta reakcja? Uznanie Somalilandu tworzy niebezpieczny precedens i może zachęcić inne ruchy separatystyczne w Afryce do podobnych wybryków. Dla Izraela to strategiczny ruch. Somaliland leży na kluczowym szlaku morskim, co może pomóc w monitorowaniu Huti i zabezpieczeniu Morza Czerwonego. Przy okazji Bibi zapunktował u swojego prawicowego elektoratu.

Stany Zjednoczone już we wrześniu przebąkiwały o możliwości uznania Somalilandu w celu kręcenia własnych lodów w regionie. Premier Netanjahu zamierzał omówić swój ruch z Trumpem podczas ich spotkania 29 grudnia, ale ostatecznie go olał. Dla jasności: Trump powszechnie uznawany za głównego autora i brokera Porozumień Abrahamowych dowiedział się ostatni o przyklepaniu przez Izrael paktu z nieuznawaną republiką islamską. Administracja USA co prawda broniła prawa Izraela do samodzielnej decyzji dyplomatycznej, ale sam prezydent miał na nią zareagować mało entuzjastycznie.

Prezydent Somalii Hassan Sheik Mohamud ostrzegł, że uznanie przez Izrael Somalilandu nie było jedynie gestem dyplomatycznym, ale jest przykrywką dla deportacji obywateli Palestyny do Rogu Afryki. Określił ten krok jako otwarcie „skrzyni zła na świecie". Kilka miesięcy temu pojawiły się podobne doniesienia. Somaliland zapewnił wówczas, że ewentualne uznanie jego niepodległości przez Izrael nie będzie miało nic wspólnego z kwestią palestyńską. Zawarte w międzyczasie porozumienie pokojowe, mające zakończyć wojnę w Strefie Gazy, nie przewiduje przymusowych przesiedleń. Patrząc na uległość USA względem Netanjahu, chciałoby się dodać „jeszcze".

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Jastrząb pokoju

Proszę państwa, 3 stycznia 2026 r. skończył się na świecie „demokratyczny Zachód”.

Tak, nawiązując do słynnej wypowiedzi Joanny Szczepkowskiej, można skomentować ostatnią napaść wojsk USA na instalacje naftowe w Wenezueli oraz porwanie prezydenta Maduro i jego małżonki.

Do tej pory bywali jeszcze w Polsce politycy i komentatorzy polityczni wychowani na poprzedniej zimnej wojnie. Oni rutynowo, bezmyślnie powtarzali, że wszyscy prezydenci USA są jednocześnie przywódcami „Wolnego Świata”. Papieżami demokracji, którzy stoją niezłomnie na straży przestrzegania praw człowieka.

Ich przeciwnikami są przywódcy państw uznawanych za niedemokratyczne, zniewalające swych obywateli. Liderzy „państw bandyckich”, tworzących światowe „Osie Zła”.

Komentarzy ci powtarzali to pomimo częstych, znanych praktyk administracji USA. Konsekwentnie zwalczającej – zwykle brutalnie i bezwzględnie – wszystkie nieprzyjazne im ruchy polityczne. Zwłaszcza te postępowe, realizujące narodowe interesy, demokratyczne, lewicowe.

Ale wówczas wszystkie przypadki łamania wszelkich praw, zbrodni nawet, administracja USA i usłużne jej światowe media uzasadniały koniecznością walki z dyktaturami i obroną „praw człowieka”.

Ogłoszona w zeszłym roku przez współpracowników prezydenta Trumpa nowa Narodowa Strategia Bezpieczeństwa nie sili się już na miraż podtrzymywania demokratycznych, wolnościowych wartości.

Pokój poprzez siłę

Rządzący dziś prezydent USA preferuje narodowy egoizm. Światową hegemonię USA wymuszaną groźbami wojen i wszczynanymi wojnami też.

Rządy prezydenta Trumpa zaczęły się wojnami celnymi. Wypowiedzianymi wszystkim państwom, także tym uznawanym za wieloletnich, tradycyjnych sojuszników USA. Ale poziom długów USA sięga już 38 bln dol. i prezydent Trump postanowił oddłużyć się kosztem reszty świata. Także tego „demokratycznego”.

Firmowana przez niego Narodowa Strategia Bezpieczeństwa wprowadza nowy styl uprawiania polityki. Bez owijania w prodemokratyczne wartości. Nazwany już wprowadzaniem „pokoju przy użyciu siły”.

Wprowadza także zasadę „elastycznego realizmu”. Jak będzie w realu wyglądał ów „elastyczny realizm”, jeszcze w pełni nie wiemy. Można przewidzieć już, że będzie to prymat polityki transakcyjnej nad kultywowaną jeszcze w Unii Europejskiej Europejską Konwencją Praw Człowieka.

Czeka nas pewnie polityczny rozbrat USA z Unią Europejską. Czemu już sprzyja konserwatywna, antyliberalna rewolucja ogłaszana przez ekipę Trumpa. Stałe ich propagandowe ataki na „liberalne” elity w UE i Kanadzie.

Strefy wpływów

Nowa strategia bezpieczeństwa Trumpa nawiązuje do XIX-wiecznej amerykańskiej doktryny Monroe’a, co można uznać za zapowiedź polityki ograniczania interesów amerykańskich w Europie.

Powrót do wielkomocarstwowej gry i podziałów świata na strefy wpływów. Tworzenie nowego światowego systemu bezpieczeństwa. I pewnie nowych zimnych wojen też.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nowy rywalizujący świat nie będzie jednak, jak w XX w., podzielony na dwa mocarstwa oraz ich sojuszników. Teraz o swoje globalne strefy wpływów, obok Rosji, walczyć będą też Chiny i Indie. A o swe regionalne strefy także Izrael, Iran, Republika Południowej Afryki.

Wszystkie te państwa zainteresowane są prymatem „elastycznego realizmu” i polityki transakcyjnej ponad polityką kultywowanych jeszcze w Unii Europejskiej demokratycznych wartości.

Dlatego nie dziwmy się, że Biały Dom może okazać się wyrozumiały dla antyzachodniej Rosji kosztem interesów deklarującej proeuropejskość i przynależność do zachodnich demokracji Ukrainy. I wymusić na ukraińskich elitach niekorzystny rozejm.

Prezydent Trump może być werbalnie bardzo antychiński, ale kiedy tylko pojawiły się możliwości korzystnego dla niego dealu, to w amerykańskiej bazie wojskowej Busan w Korei Południowej doszło do szczytu Trump–Xi Jinping. Gdzie chiński prezydent zdominował amerykańskiego. Zadbał, aby były to rozmowy dwóch równorzędnych partnerów.

Nietrudno przewidzieć, że wspieranie aspiracji państwowych Tajwanu przez administrację Trumpa to tylko kwestia ceny. Jaką Pekinowi zaproponuje Waszyngton za wycofanie swego poparcia.

Podobnie transakcyjne polityki bywają nawet w relacjach Indie–Chiny. Te dwa sąsiadujące światowe mocarstwa nadal nie mają uregulowanych granic. Zdarzało się, że walczyły o przygraniczne terytoria.

Mają sprzeczne interesy gospodarcze. Wspierają militarnie wrogie sobie państwa. Pomimo takiej rywalizacji potrafią wykonać demonstracyjne gesty przyjaźni, kiedy mogą wspólnie wymusić na administracji Trumpa korzystne zmiany w taryfach celnych.

Strefa cienia

Unia Europejska musi wreszcie otrzeźwieć. Przez ostatnie pół wieku jej gospodarka, zwłaszcza największych państw zachodnich, rozwijała się, korzystając z tanich rosyjskich surowców. A także z rosyjskich rynków zbytu na europejskie produkty przemysłowe. Ale to skończyło się po poparciu Ukrainy w wojnie rosyjsko-ukraińskiej.

Przez ostatnie 80 lat na terenie Unii Europejskiej nie było wojen. Bo wspólne polityki skutecznie łagodziły konflikty między państwami członkowskimi. Dzięki temu mogły one redukować swe budżetowe wojskowe wydatki. Wydawać więcej na oświatę, naukę, sferę socjalną. Oferować swym obywatelom najwyższą na świecie jakość życia i jednocześnie poszanowanie ich wolności i praw obywatelskich.

Teraz prezydent Trump zwija Unii Europejskiej ochronny parasol militarny. Zmusza państwa Unii do kosztownej remilitaryzacji. A to może ograniczyć nam poziom życia i wolności obywatelskich.

Dodatkowo konkurencyjne Chiny są już nie tylko fabryką świata. Wyrastają na lidera nowych technologii. Produkują najlepsze i najtańsze na świecie samochody elektryczne. Bez chińskich technologii nie da się stworzyć odnawialnej energetyki. Bez chińskich technologii trudno tworzyć gospodarkę cyfrową. Przodująca kiedyś technologicznie Unia Europejska staje się gospodarczym domem radosnej starości.

Śladem Chin podążają Indie. Jeśli będą rozwijać się w dotychczasowym tempie, to za kilkanaście lat wyrosną na trzecią gospodarkę w świecie.

A tymczasem u nas…

Polskie elity polityczne mają ambicje stworzenia najsilniejszej armii w Europie Środkowo-Wschodniej. Wydatki na zbrojenia przekraczają już 5 proc. PKB. Przybywa nam podpisywanych kontraktów na kolejne partie uzbrojenia.

Armia gotuje się do odstraszania wrażego wroga.

Jednocześnie trwa w Polsce polityczna wojna domowa. Prezydenta z premierem. Zmobilizowanych przez nich swych wojsk.

Wojna na razie na słowa, wpisy internetowe, pyskówki w mediach. Ogłupiająca już wszystkich polskich obywateli.

W grudniu 2025 r. sondażownia IBRiS zapytała naszych obywateli:

czy rosnące wydatki na obronność powinny być też pokrywane z dodatkowego, tymczasowego podatku? I okazało się, że choć mamy miliony zdeklarowanych patriotów, zwłaszcza tych w mediach internetowych, to aż 58 proc. ankietowanych sprzeciwiło się takiemu rozwiązaniu.

Tylko 32 proc. chciało dowieść swego patriotyzmu wsparciem polskiego budżetu. Prawie 10 proc. nie miało zdania.

Można oczywiście rzec, że ci przeciwni to pewnie zwolennicy prezydenta Nawrockiego, który uroczyście obiecał, że każdy rosnący podatek zaproponowany przez ten wrogi rząd Tuska on jako prezydent patriota zawetuje.

Nawet podwyżkę podatku na niezdrowe, obniżające wartość bojową polskich żołnierzy napoje cukrowe.

Dzięki takiej polityce fiskalnej polska armia dorobi się zagranicznego drogiego sprzętu, ale polska nauka pozostanie jeszcze dalej za Chińczykami.

Bo polski patriota nadal wierzy, że tak jak dzieci rodzą się w kapuście, tak polska wielka armia urodzi się z zamrożonych podatków.

I ochoczych deklaracji polskich polityków, że chcemy być specjalną strefą wpływów prezydenta Trumpa.

PIOTR GADZINOWSKI

Teraz można

Rosja po porwaniu Maduro przez Trumpa

Atak USA na Wenezuelę postawił Rosję w nader niewygodnej sytuacji. Przecież jeszcze niedawno, bo w maju 2025 r., Rosja i Wenezuela podpisały strategiczną umowę międzynarodową. W październiku dokument był ratyfikowany przez obie strony. Czego w tym dokumencie nie było! I o przyjaźni, i o równoprawnym dialogu, wzajemnym szacunku i poszanowaniu interesów, i, co najważniejsze, że „strony będą udoskonalać więzi w sferze obronności w dziedzinach przedstawiających wzajemny interes, rozpatrując je jako ważną część wsparcia regionalnego i globalnego bezpieczeństwa”. No. To teraz ten kwitek oba kraje mogą wyrzucić do śmieci.

Stany Zjednoczone w parę godzin pokazały, że poza bandyckim charakterem swojej polityki zagranicznej, która prawo międzynarodowe ma całkowicie w dupie, mogą dowolny kraj, będący w sferze ich zainteresowania (czyli wszędzie) przywołać do porządku. Co ważniejsze, nie oglądając się na swoich rywali na światowej szachownicy.

Pocieszacze i dosmucacze

Rosjanie, a przynajmniej ich część, są zszokowani. Jakże to? To po co było tyle gadać o rosyjsko-wenezuelskiej niewzruszonej przyjaźni? Tyle opowieści o dostarczanej walecznej armii boliwariańskiej nowoczesnej rosyjskiej broni, która rzuci na kolana każdego potencjalnego napastnika, szczególnie amerykańskiego, po to rzucono tam naszych najlepszych oficerów, jak generał Oleg Makarewicz, by szkolił dzielnych wenezuelskich żołnierzy – żeby w jedną noc to wszystko wyleciało w powietrze?

Żeby społeczeństwo nie szlochało zbyt długo, na pomoc rzuciła się część rosyjskich mediów, które na zawołanie gotowe są opowiedzieć każdą bzdurę, byle tylko usprawiedliwić kolejną klęskę. Namnożyło się więc opowieści, że łatwość, z jaką USA weszły do Wenezueli, obezwładniły ich armię i bez strat własnych buchnęły ze środka miasta legalnego prezydenta – to tylko taka niekorzystna koincydencja. Bo naród Wenezueli był zmęczony kryzysem i przymierał głodem pod rządami tego nieudolnego polityka. Pojawiły się teksty, że

akcja porwania Maduro z jego pałacu to nic takiego, bo rosyjska Alfa zrobiłaby to dużo lepiej, amerykańska Delta może Rosjanom buty pastować. I w ogóle to wszystko było zaplanowane, Rosja na chwilę się przyczaiła i za chwilę da Jankesom popalić, tylko dajcie jej chwilę…

Takich radosnych, choć niekoniecznie z prawdziwych tez można było się nasłuchać i naoglądać do woli.

Jednak poważniejsi komentatorzy i eksperci zwracali powszechnie uwagę, że całą tę operację należy rozpatrywać jako ewidentną porażkę Rosji i przy okazji Chin. Zwracano uwagę, że owszem, ludność Wenezueli miała prawo być zmęczona kryzysem, przypominającym ten z lat 90. w Rosji – ale najgorsze było w latach 2014–2019, kiedy rzeczywiście występowały poważne braki w zaopatrzeniu. Teraz wciąż jest ciężko, ale to nie jest głód na ulicach. Wskazywano na programy pomocowe dla najbiedniejszych, dotowanie podstawowych towarów i benzyny, mające wszelkie cechy rozdawnictwa dla potencjalnego elektoratu. Porażką Rosji, poza wizerunkowymi stratami, będzie trudność w odzyskaniu zainwestowanych w wenezuelską gospodarkę pieniędzy – a raczej po prostu ich utrata.

Przy okazji nadmieniano, że wspomniany generał Makarewicz ma może dobry PR, ale został wysłany do Wenezueli niedługo po spektakularnej porażce ugrupowania, na czele którego stał na Ukrainie. W jej rezultacie Rosjanie stracili Cherson, zatem trudno mówić, że do Wenezueli Rosja skierowała swoje najlepsze wojskowe kadry.

Ale dlaczego?

Analizy tego, co się stało nad Caracas, dotyczyły nie tylko samej operacji amerykańskich wojsk specjalnych, ale też skutków, jakie ta operacja będzie miała dla Rosji, jej polityki zagranicznej w nowych warunkach i dla nowego świata.

Rosyjska wersja „Forbesa” w swojej analizie wskazywała, że to, co się stało, to złe wieści dla wszystkich tych krajów Ameryki Południowej, które są rządzone przez władze choćby trochę lewicowe: Kuby, Nikaragui, Meksyku i Kolumbii. Jednocześnie dzień przed amerykańskim atakiem skrajnie prawicowy prezydent Argentyny Javier Milei wystąpił z inicjatywą stworzenia koalicji dziesięciu państw Ameryki Południowej, w których władzę wzięli prawacy: Argentyna, Chile, Boliwia, Peru, Ekwador, Paragwaj, Dominikana,

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Amerykański bandytyzm państwowy

Co świat myśli o napaści na Wenezuelę

Wiele krajów ma na swoim koncie różnego rodzaju agresywne poczynania – jednak żaden z nich nie może pod tym względem dorównać Stanom Zjednoczonym. Uprowadzenie i uwięzienie prezydenta Wenezueli Nicolása Maduro z żoną Cilią Flores to tylko najnowszy w długiej serii przykładów amerykańskiego gangsterstwa.

Przyjaciele i wrogowie

O ile sama akcja była dużym zaskoczeniem, o tyle reakcje światowe stosunkowo łatwo było przewidzieć. „Pozostaję głęboko zaniepokojony faktem, że zasady prawa międzynarodowego nie były przestrzegane podczas akcji militarnej z 3 stycznia" – ogłosił sekretarz generalny ONZ. Zaniepokojenie budzi nie tylko zagrożenie dla stabilności kraju i regionu, ale także „precedens, jaki może to stworzyć dla stosunków między państwami" – stwierdził Antonio Guterres w oświadczeniu odczytanym na nadzwyczajnym posiedzenia RB ONZ zwołanym na wniosek Kolumbii z poparciem Chin i Rosji.

Chiny uznały amerykański atak za rażące użycie siły wobec suwerennego państwa i jego prezydenta – co stanowi nie tylko poważne naruszenie prawa międzynarodowego, lecz także zagraża pokojowi i bezpieczeństwu w Ameryce Łacińskiej i regionie Karaibów. Domagają się też natychmiastowego uwolnienia Maduro i jego żony.

O naruszeniu prawa międzynarodowego i akcie zbrojnej agresji mówi też Rosja. W kontekście wojny z Ukrainą polscy komentatorzy wytykają jej arogancję, butę i zakłamanie. Co do zakłamania – to warto przypomnieć słowa Trumpa z końca listopada, iż chce on doprowadzić do odejścia Maduro, jednak bez podejmowania działań zbrojnych. Zapowiadał też, że Stany nie zaatakują Wenezueli – po czym „przy okazji" porwania prezydenta zbombardował obiekty wojskowe oraz stołeczne lotnisko La Carlota, wg źródeł wenezuelskich powodując śmierć co najmniej 80 osób.

Do krytyki dołączył Iran, który mówi o skandalicznym naruszeniu suwerenności Wenezueli. Niezaskakująco przeciwnego zdania jest Izrael – Binjamin Netanjahu pogratulował Trumpowi jego „śmiałego historycznego przywództwa w imię wolności i sprawiedliwości".

Sąsiedzi

Po stronie Wenezueli opowiedział się naturalnie jej wieloletni sojusznik – Kuba. Prezydent Miguel Diaz-Canel oskarżył USA o „kryminalny atak" i poinformował, że 32 kubańskich żołnierzy zginęło podczas amerykańskiej napaści – przy okazji przyznając, że w Wenezueli znajduje się kontyngent kubański. „Kategorycznie odrzucamy interwencję w sprawy wewnętrzne innych krajów" – oświadczyła prezydent Meksyku Claudia Sheinbaum. O zamachu na suwerenność mówił też prezydent Kolumbii Gustavo Petro, który również znalazł się na celowniku Sanów Zjednoczonych, po tym jak otwarcie skrytykował amerykańskie ataki na łodzie na Morzu Karaibskim. W odwecie Amerykanie zaatakowali kolumbijski kuter rybacki natychmiast po jego wypłynięciu z portu.

Reakcje innych państw regionu były zróżnicowane – w zależności od ich relacji z USA. Brazylijski prezydent Lula Da Silva twierdzi, że USA przekroczyły „nieakceptowalną linię", co stanowi pierwszy krok na drodze do światowej przemocy, chaosu i niestabilności. Prezydent Chile, Gabriel Boric, potępił akcję i wyraził zaniepokojenie, wzywając jednocześnie do pokojowego rozwiązania kryzysu. Urugwaj wydał oświadczenie, że monitoruje rozwój wypadków „z uwagą i poważnym zaniepokojeniem", podkreślając jednocześnie, że zawsze był przeciwny wojskowym interwencjom.

Oczywiście przeciwnego zdania był faworyzowany przez Trumpa argentyński prezydent Javier Milei, który ogłosił pompatycznie, że dzięki amerykańskiej interwencji „wolność posunęła się naprzód".

Europa bliższa i dalsza

Porwanie prezydenta Maduro wzbudziło szczerą radość Wołodymyra Zełenskiego, który zasugerował Trumpowi, że teraz kolej na Putina: „Jeśli z dyktatorami można sobie radzić w taki sposób, to Stany Zjednoczone wiedzą, co powinny zrobić dalej"… Akcję poparła też przebywająca na emigracji nieformalna liderka białoruskiej opozycji Swietłana Cichanouskaja.

Ciekawe stanowisko zajęła Gruzja. Tamtejszy resort spraw zagranicznych opublikował oświadczenie wyrażające nadzieję, że teraz Wenezuela wycofa swoje uznanie odłączonych od Gruzji i proklamujących niezawisłość Abchazji i Osetii Południowej.

Europa usiłuje zachować powściągliwość, unikając bezpośredniej krytyki USA. Unijna komisarz ds. zagranicznych Kaja Kallas powtórzyła formułkę, iż Nicolás Maduro nie posiada dostatecznej legitymizacji do pełnienia funkcji prezydenta i dlatego powinien nastąpić transfer władzy. Kraje członkowskie UE wydały wspólne – z wyłączeniem Węgier – oświadczenie, które stwierdza mało odkrywczo, że zasady prawa międzynarodowego powinny być przestrzegane bez względu na okoliczności – ale przezornie nie dodaje, że przez USA także. Z kolei niemiecki kanclerz Friedrich Merz orzekł, że kwestia amerykańskiej operacji jest złożona, przy czym prawo międzynarodowe generalnie powinno obowiązywać. Również brytyjski premier Keir Starmer uznaje się za zwolennika prawa międzynarodowego – jednak w tym przypadku „czeka na ustalenie wszystkich faktów" i „nie będzie ronił łez" z powodu uprowadzenia Maduro.

W tym zalewie konformizmu wyróżnił się hiszpański minister spraw zagranicznych Jose Manuel Albares, który stwierdził wprost, iż działania USA w Wenezueli naruszają prawo międzynarodowe i stanowią „bardzo niebezpieczny precedens na przyszłość", po czym nie bez złośliwości przypomniał Irak – dowód na to, że „użycie siły nie przynosi stabilności ani demokracji, ale chaos dla narodów i regionów". Także minister spraw zagranicznych Norwegii Espen Barth Eide orzekł w miarę stanowczo, że prawo międzynarodowe ma charakter uniwersalny i jest wiążące dla wszystkich państw.

Jak w Stanach?

Podczas gdy europejscy dyplomaci – nawet ci niechętni Trumpowi – bawią się w dwuznaczne dywagacje, jego krajowi przeciwnicy się nie obcyndalają i mówią wprost o łamaniu przez ich państwo prawa międzynarodowego.

Profesor prawa na Uniwersytecie Columbia Matthew Waxman uważa, że samo oskarżenie nie daje prawa do użycia siły militarnej do usuwania zagranicznych rządów. Rebecca Hamilton, profesor prawa z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, twierdzi, że bez względu na to, czy oskarżenia wobec Maduro są uzasadnione, czy nie, jako głowę państwa chroni go immunitet. Prawnicy są zgodni co do tego, że rządowa argumentacja – jakoby wenezuelski prezydent nadzorował przemyt narkotyków, a Wenezuela miała zagrażać bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych – wymaga uzasadnienia, którego Trump nie dostarczył. Cytowany przez brytyjski „Guardian" amerykański prawnik Geoffrey Robertson twierdzi wręcz, że USA dopuściły się agresji, którą trybunał w Norymberdze określił jako zbrodnię najwyższą.

Krytyczni wobec akcji Trumpa są naturalnie politycy z Partii Demokratycznej – ale nie tylko. Dawna sojuszniczka Trumpa kongresmenka Marjorie Taylor Greene uważa, że Amerykanie są zdegustowani swoim rządem z powodu niekończących się agresji militarnych i wspierania wojen za granicą. Republikański kongresmen Thomas Massie widzi sprzeczność pomiędzy oficjalnym uzasadnieniem aresztowania Maduro a szczerymi twierdzeniami Trumpa, iż celem tej operacji było odzyskanie znacjonalizowanego przemysłu naftowego.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

A jak w Polsce?

W odróżnieniu od większości krajów – które zdobyły się chociażby na wskazanie na potrzebę przestrzegania prawa międzynarodowego – polscy politycy podchodzą do sprawy z ostrożnością hodowców jeży. Zdaniem premiera Donalda Tuska jeszcze przyjdzie czas na analizę, jak to będzie wpływać na sytuację w naszym regionie, i w związku z tym będziemy reagować i przygotowywać się do nowej sytuacji. Radosław Sikorski zdobył się jedynie na pokpiwanie sobie z uprowadzonego prezydenta. Głowa państwa koniunkturalnie milczy, nie chcąc sobie zapewne zrażać amerykańskiego protektora. A może po prostu nie wypada mu mówić językiem Tuska? Pytany w telewizyjnej „Kawie na ławę" o stanowisko prezydenta RP, jego doradca Andrzej Zybertowicz unikał jednoznacznej odpowiedzi – za to perorował o tym, jak gazociąg Nord Stream łamał standardy Unii Europejskiej.

Aby wykazać się oryginalnością, jeden z posłów (nazwiska nie pomnę, bo nie warto) puścił w obieg wykreowane przez SI zdjęcie Tuska z Maduro. Jednak przebił go gen. Roman Polko, który ogłosił, że ma ogromny szacunek dla tych, którzy tę operację wykonywali. Ciekawe, czy pan generał darzyłby szacunkiem również typów, którzy sprawnie wdarliby się nocy się do jego mieszkania i porwali go razem z żoną.

Polityczną prawomyślnością wykazują się polscy dziennikarze, starannie unikając jednoznacznego potępienia amerykańskiej akcji – choć jeszcze niedawno grzmieli z oburzeniem nad rosyjską ofensywą na Ukrainę.

Uczone głowy w Polsce i za granicą snują domysły, co dalej zrobi Trump w sprawie Wenezueli. Rozpatrywanych wariantów jest kilka, jest to jednak odrębny, obszerny temat. Warto jednak przytoczyć jedną opinię: Josepa Borrella, który – jako były już unijny komisarz ds. zagranicznych – mógł sobie pozwolić na szczerość.

Zdaniem Borella Stany Zjednoczone potrafią sprawnie destabilizować sytuację za pomocą armii, lecz zupełnie źle radzą sobie z następującym po tym politycznym zarządzaniem.

Warto zapamiętać te prorocze słowa.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

wszystko

Salwador, Panama i Honduras. To jasno wskazuje – twierdzi Forbes.ru – że Trump nie pozwoli na istnienie jakichkolwiek państw, które mogłyby stworzyć teraz lub w przyszłości jakiekolwiek problemy Stanom Zjednoczonych.

Rosyjscy komentatorzy są też zdania, że owszem, Rosja i Chiny przegrały to starcie, ale to dopiero początek dłuższego procesu.

Prawdą jest, że można było się spodziewać jakiegokolwiek oporu ze strony wenezuelskiej armii. Skoro tak się nie stało, to – twierdzą rosyjskie źródła – z powodu zaskoczenia lub, co bardziej prawdopodobne, skorumpowania wyższych oficerów wenezuelskiej armii. Podejrzenia nie dotyczą kubańskiej ochrony, która poległa w obronie prezydenta Wenezueli – co potwierdziły kubańskie władze, ogłaszając żałobę narodową na cześć 32 Kubańczyków zamordowanych przez Amerykanów.

Kwestia braku jakiegokolwiek oporu pozostaje zagadką, która pewnie kiedyś się wyjaśni. Bardziej aktualne jest dla Rosji pytanie: co dalej?

Dziki Zachód

Amerykanista Malek Dudakow w rozmowie z Gazeta.ru wypowiada opinię, że są duże szanse, że Wenezuela może stać się dla Trumpa Wietnamem 2.0 – ale tylko wtedy, gdyby USA zdecydowały się na operację lądową. Zwraca jednak uwagę, że jak na razie u steru Wenezueli pozostają legalne władze, które werbalnie deklarują współpracę z USA, ale nikt nie wie, jak dalej potoczą się wydarzenia. Destabilizacja regionu to tylko jedna z możliwych konsekwencji. Kolejną może być przekazanie przez Amerykanów zdobytej w Wenezueli rosyjskiej nowoczesnej broni Ukrainie. Jednak utrata przez Rosję jednego z najważniejszych partnerów na kontynencie jest faktem.

Niektórzy, jak np. komentatorzy z czasopisma „Nieft i Kapitał", obawiają się, że pojawienie się znacznych ilości wenezuelskiej ropy na światowych rynkach wpłynie na obniżenie cen, co mogłoby przynieść negatywne konsekwencje dla rosyjskiej gospodarki.

Kolejnymi wątkami poruszanymi przez rosyjski komentariat są konsekwencje amerykańskiej agresji dla porządku międzynarodowego. Poza oczywistym złamaniem zasad prawa międzynarodowego – na co zwracał uwagę m.in. Dmitrij Miedwiediew – wspominano też o utraceniu przez ONZ autorytetu instytucji, na którą w trudnych momentach może liczyć społeczność międzynarodowa. Jednym z najczęściej powtarzanych wniosków jest ten, że relacje między Rosją a USA powinny opierać się na przekonaniu, że Stany Zjednoczone porzuciły już wszelkie pozory i tak też trzeba podchodzić do ich polityki.

Oczywiście, najazd na Wenezuelę nie był pierwszym bandyckim i naruszającym wszelkie zasady amerykańskim atakiem na suwerenne państwo. Jednak wyróżnia go bezczelność i ranga obiektu ataku. A także tak jednoznaczne pokazanie, że Stany Zjednoczone gotowe są do wyznaczenia terytoriów podlegających ich wyłącznej kontroli. Na początek.

Najciekawszy wniosek sformułował pisarz i publicysta Siergiej Pieriesłegin. Kapitalizm to wieczne wojny, a imperializm doprowadzi świat do wojny światowej. Świat zmierza więc w kierunku katastrofy i teraz już panują w nim „prawa sawanny". Kiedyś państwa naruszały prawo międzynarodowe, ale wtedy było co naruszać. Teraz, twierdzi publicysta, żadnych praw nie ma. Dla nikogo. Czy to dla USA, czy dla Rosji, czy jakiegokolwiek innego państwa, które będzie miało siły i środki, by osiągać swoje cele, łącznie z porywaniem niewygodnych polityków różnych szczebli. No to czekajmy na rozwój wypadków.


Rys. MARCIN CHUDZIK

MACIEJ WIŚNIOWSKI

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Po co komu dialog?

Klapa Obywatelska

29 grudnia 2025 r. na stronach Rządowego Centrum Legislacji umieszczono projekt ustawy dotyczącej zmian w przepisach o pomocy dla obywateli Ukrainy. Projekt – 50 stron zmian i 22 strony uzasadnienia – został przesłany z rozdzielnika do wybranej grupy organizacji społecznych 23 grudnia 2025 r. późnym popołudniem. Wskazany termin konsultacji to 2 stycznia 2026 r. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji miało gest, dając na skonsultowanie 400 zmian w różnych powiązanych ustawach aż cztery dni robocze w gąszczu świąt. Na konsultacje poprzedniej nowelizacji tej ustawy władza dała organizacjom pozarządowym (oraz rzecznikowi praw obywatelskich) całe 48 godzin. Chociaż nie wiadomo po co, bo jak wskazują NGO-sy, z reguły wszystkie uwagi rząd ma w dupie.

Rząd leci w kulki

Pod koniec września 2025 r. prezydent Karol Nawrocki podpisał nowelizację ukraińskiej specustawy, na mocy której osoby korzystające z ochrony tymczasowej nie muszą się obawiać o legalność pobytu do 4 marca 2026 r. Kancelaria Prezydenta poinformowała wówczas, że to „ostatnia ustawa, która została przez prezydenta w tej formule pomocowej, szczególnej pomocy, wyjątkowej pomocy podpisana". Marcowym terminem usprawiedliwiło tempo „konsultacji" MSWiA: „Skrócony termin uzgodnień wynika z konieczności wejścia w życie projektowanej ustawy z dniem 5 marca 2026 roku" – lakonicznie wyjaśnił resort. Kłopot polega na tym, że nijak się to ma do obowiązujących przepisów.

Zgodnie z paragrafem 36 ust. 1 Regulaminu pracy Rady Ministrów projekty ustaw podlegają uzgodnieniom, opiniowaniu oraz konsultacjom publicznym jako integralnemu elementowi rządowego procesu legislacyjnego. § 40 ust. 3 pkt 1 Regulaminu stanowi, że w przypadku projektów ustaw standardowy minimalny termin na uzgodnienia, opiniowanie i konsultacje wynosi 21 dni, a skrócenie tego terminu wymaga szczegółowego uzasadnienia. Informacja, że ustawa musi wejść w życie w pierwszych dniach marca, nie wyczerpuje więc formuły takiego uzasadnienia. Regulamin jako taki istnieje od 2002 r., przepisy, które regulują powyższe ustalenia zostały wprowadzone w obecnej formie w 2024 r. – za rządów Donalda Tuska. Zmiana ta realizowała kamień milowy Krajowego Planu Odbudowy, dotyczący usprawnienia procesu stanowienia prawa i większego udziału strony społecznej. I co? Gówno.

„Nawet szybka lektura nowych przepisów pokazuje, że jest co poprawiać. Są obszary, w których nowelizacja wymaga doprecyzowania albo zmiany, inaczej przepisy będą martwe" – napisała w social mediach Agnieszka Kosowicz z Polskiego Forum Migracyjnego. I dodała: „To trzeci raz w tym roku, gdy odbywa się nowelizacja ustawy pomocowej (…). Ani razu jej porządnie nie skonsultowano". „Bo rząd ma III sektor nie za partnera, a jakiś »prawnoczłowieczych zawracaczy głowy«, w dodatku wie, że od niego w większości finansowo zależnych, więc dla rządu to rodzaj mało pożytecznej i przydatnej klienteli, której nie trzeba traktować poważnie" – skonstatował na facebookowej stronie Asymetrystów Kajetan Wróblewski. „A rządząca obecnie koalicja, ględząc o przywracaniu praworządności, prawo traktuje jak PiS, czyli bierze z niego to, co akurat jej pasuje, a to, co nie pasuje, dla niej nie istnieje" – zauważył. Trudno się nie zgodzić, a miało być tak pięknie.

Niewygodne obietnice

Po zmianie władzy w rządzie pojawiło się nowe stanowisko: ministra do spraw społeczeństwa obywatelskiego. Jego utworzenie po wyborach parlamentarnych w 2023 r. miało podkreślać wagę, jaką koalicja 15 października przywiązuje do roli społeczeństwa obywatelskiego w obronie praworządności i demokracji, ochrony praw kobiet i mniejszości. „Społeczeństwo obywatelskie wraca razem z nami do rzeczywistości naszego życia publicznego" – deklarował nawet w swoim exposé premier Donald Tusk.

Stołek początkowo objęła Agnieszka Buczyńska z Polski 2050. W październiku 2025 r. zastąpiła ją Adriana Porowska. Urzędowanie zaczęła chwilę po tym, kiedy Donald Tusk ogłosił założenia strategii migracyjnej, w tym czasowe i terytorialne zawieszenie prawa do azylu, przyjęte z pominięciem konsultacji społecznych. Owczesny wiceszef MSWiA Maciej Duszczyk podkreślał, gdzie mógł, że zrobiono to świadomie i on sam nie zamieniłby tej decyzji. „Ja jestem od przeprowadzenia procesu konsultacji, od tego by móc posklejać dialog. Oczekiwania są po obu stronach. Nie ma możliwości, żeby wszyscy się ze sobą zgodzili" – opisywała swoją misję minister Porowska. I słuch o niej zaginął.

W czerwcu 2025 r. organizacje pozarządowe podniosły alarm, że nowa ustawa deregulacyjna (UDER 23), ograniczy ich prawo do składania skargi kasacyjnej do Naczelnego Sądu Administracyjnego. Oczywiście znowu pominięto konsultacje społeczne w sprawie. Kiedy 120 NGO-sów zrobiło medialny szum, minister Porowską wypuszczono ze schowka na szczotki i zaczęła działać: zorganizowała spotkanie z organizacjami pozarządowymi, przeprowadziła dodatkowe wysłuchanie publiczne… W sumie

ministra ogłosiła, że „projekt w obecnym kształcie nie będzie procedowany". Oraz że „dialog działa". Faktycznie, Ministerstwo Sprawiedliwości pod wpływem smrodu odpuściło zapis. Miesiąc później Donald Tusk zlikwidował stołek ministra do spraw społeczeństwa obywatelskiego

– w ramach rekonstrukcji rządu. Porowska objęła funkcję sekretarza stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Jej praca rzekomo dalej koncentruje się w obszarze problemów społecznych i dialogu z NGO-sami. 31 grudnia wrzuciła na swoje publiczne, rządowe social media film z życzeniami noworocznymi. „2025 był rokiem Mocy Małych Społeczności! Na 2026 życzę wszystkim wszystkiego co najwspanialsze i … niech moc będzie z nami!". Listek figowy Tuska nie stara się już niczego przykrywać.

Na łasce pana

Wygaszanie rozwiązań specustawy ukraińskiej (czy przeniesienie jej przepisów do innych ustaw) to zasadnicza zmiana w sytuacji uchodźców. Organizacje zajmujące się osobami z niepełnosprawnością, seniorami, dziećmi, edukacją, pracą, samorządy i wreszcie ośrodki zbiorowego zakwaterowania – wiedzą najwięcej o wyzwaniach, z którymi się spotykają w pracy z uchodźcami. To one odciążają w przerażająco wielu sektorach niewydolne państwo. Co gorsza, to na te organizacje spadnie ciężar nieudolnych i nieprzemyślanych (bądź celowo wyśrubowanych) decyzji rządu. Urzędnicy, mając w dupie istotne okoliczności, sprowadzą negatywne skutki swoich decyzji nie tylko na uchodźców z Ukrainy, ale na całe polskie społeczeństwo. Nietrudno o refleksję, jakim paliwem dla prawej strony będą tego efekty. Konsultacje społeczne są właśnie po to, by zminimalizować wszelkie ryzyko.

2 stycznia 67 organizacji pozarządowych wystosowało do ministra spraw wewnętrznych i administracji Macieja Kierwińskiego list. Domagają się w nim m.in. wydłużenia terminu konsultacji publicznych do co najmniej 21 dni od momentu faktycznego udostępnienia projektu oraz zapewnienia przejrzystego rzeczywistego dostępu do nich z uwzględnieniem szerokiego grona interesariuszy. Pytanie, czy MSWiA zgodzi się na rozmowy i tym razem uwzględni uwagi, wydaje się tak samo naiwne, jak otwarte.

IDALIA DUBICKA

Czy pisowska KRRiT aż tak podoba się rządzącej większości?

Sodoma i cenzura

Do lipca na krajowej scenie politycznej panoszył się w roli przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Maciej Świrski. Facet, wobec którego sejm postawił wniosek o postawienie przed Trybunałem Stanu i który następnie został odwołany z funkcji przewodniczącego, po czym nadal pozostaje w radzie. Sejmowy wniosek zdechł, ale pozostało pytanie, czy bez Świrskiego KRRiT jest tym, o co obecnej władzy chodzi. Bo skoro nikt do jej składu konstytucyjnie się nie dobiera, to chyba jest.

Stanowczo Trybunał

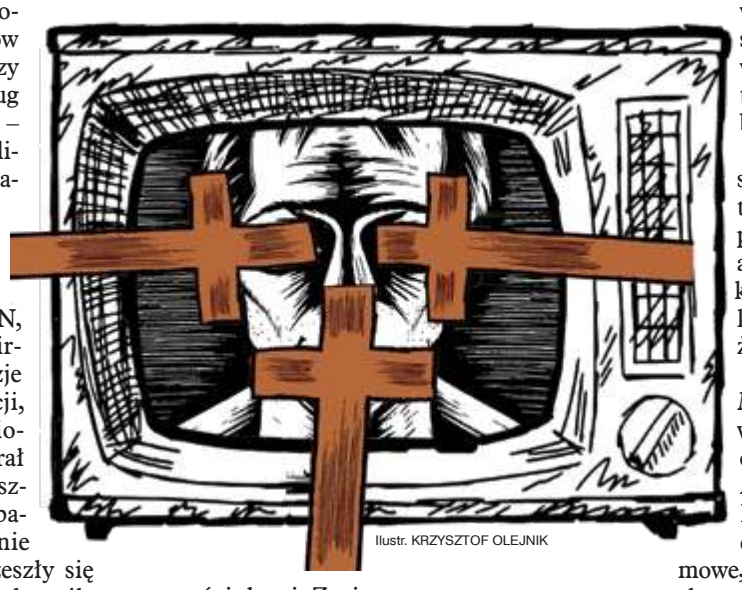
Świrskiemu zarzucano blokowanie około 300 mln zł z abonamentu dla mediów publicznych. Nieprzekazywanie pieniędzy telewizji w stanie likwidacji miało według wnioskodawców charakter polityczny – było formą nacisku, sposobem na sparaliżowanie instytucji, która została już opanowana przez nową większość.

Kolejne zarzuty dotyczyły działań wobec mediów prywatnych. Tu miało miejsce przewlekanie postępowań koncesyjnych, w tym wobec stacji TVN, TVN24, TOK FM czy Radia ZET. Świrski nakładał kary, jeszcze zanim decyzje stały się prawomocne, żądał informacji, do których – jak twierdzili autorzy wniosku – nie miał prawa, a następnie karał nadawców za niespełnienie żądań. Wreszcie nie przeprowadził obowiązkowych badań oglądalności, mimo że wydano na nie wielomilionowe środki. Pieniądze rozeszły się do firm zewnętrznych, które nie przedstawiły kompletnych analiz – obowiązek ustawowy nie został wykonany, a środki publiczne wcięło.

Sejm uchwalił więc pociągnięcie przewodniczącego KRRiT do odpowiedzialności konstytucyjnej. A jednak – choć głosowanie się odbyło, a wniosek przeszedł – Świrski oznajmił, że decyzji sejmu nie uznaje. Tłumaczył się stanowiskiem Trybunału Konstytucyjnego, który wcześniej orzekł, że postawienie przewodniczącego KRRiT przed Trybunałem Stanu nie jest równoznaczne z zawieszeniem w czynnościach. Potem trybunał podważył również samą procedurę sejmową, stwierdzając, że głosowanie nie spełniło wymogu trzech piątych głosów. Rząd koalicyjny nie uznaje orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego – Świrski je uznaje.

W tej sytuacji nastąpił moment przesilenia. Cztery osoby zasiadające w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji – w tym trzy nominowane przez PiS – odwołały Świrskiego z funkcji przewodniczącego. Z komunikatem, że członkowie rady kierowali się „troską o rzetelne wypełnianie konstytucyjnych obowiązków KRRiT, zagrożonych przez działania koalicji rządzącej". Od tej chwili Agnieszka Glapiak została nową przewodniczącą, a jej zastępczynią Hanna Karp. Obie z nadania Nowogrodzkiej.

Koalicja rządząca milczy. Nie próbuje odwołać całej rady, nie zmienia modelu funkcjonowania. Dlaczego? Bo kadencje członków KRRiT są zapisane w ustawie i mają charakter sześcioletni. Zmiana tego stanu rzeczy wymagałaby więc nowelizacji ustawy, a tę zawetuje Karol Nawrocki.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wielki inkwizytor

We wniosku o Trybunał Stanu dla Świrskiego zapomniano nieco o tym, kogo, jak i za co przewodniczący karał. A było to nie byle co. 72 decyzje o nałożeniu kar w 2024 r., niemal 2,2 mln zł grzywien i charakterystyczny dla świętoszkowatej biurokracji styl uzasadnień. To nie było regulowanie rynku, ale moralna krucjata.

Najbardziej dotkliwie ukarany został TVN. Cztery decyzje, 747 tys. zł. W tym 550 tys. za reportaż „Bielmo. Franciszkańska" o Janie Pawle II i pedofilii. Zarzuty? Propagowanie działań sprzecznych z prawem, postaw sprzecznych z moralnością, brak poszanowania dla przekonań religijnych. Nie pomogło, że materiał był dziennikarskim śledztwem. Dla Świrskiego liczyło się, że ranił dogmat.

To nie był wyjątek. Dowcip Krzysztofa Daukszewicza w „Szkle kontaktowym" kosztował TVN24 ponad 19 tys. zł. Treści uznane za szkodliwe dla nieletnich w TVN7 i TVN Fabuła – 35 tys. Emisja reportażu o Rydzyku w TVN24 Go – kolejne 142 tys. Przewinienia różne, mechanizm ten sam. Wrażliwość regulatora włączała się tam, gdzie zaczynała się krytyka Kościoła.

Kary dostała też Telewizja Polska. Siedem decyzji, 82 tys. zł – za treści niebezpieczne dla dzieci, za przekroczony limit reklam, za brak udogodnień dla niepełnosprawnych. Do tego 145 tys. dla likwidatora TVP za nieudzielenie informacji.

Nie zapomniano o Republice. 40 tys. zł za to, że prowadzący audycję nie przerwał wystarczająco zdecydowanie rozmówczyni, która posługiwała się obelgami i nienawistnymi określeniami. Jacek Sobala podsumował, że wszystko jest w porządku – poza jedną metaforą. To wystarczyło. Kara musiała paść, bo potrzebna była równowaga pozorów.

Kuriozum roku? Grzywna 109 tys. zł za satyryczny program „Nocna zmiana" emitowany przez „Super Express". Wszystko przez żart o Matce Boskiej i obrazie z jej autografem wręczonym Karolowi Nawrockiemu. „Czy dzieciątko też odbiło tam stópkę?" – zażartował Oczkoś. KRRiT uznała, że doszło do wykpienia sacrum.

Do tego dochodziły bzdety. 1,2 tys. zł dla Młodzieżowej Spółdzielni Mieszkaniowej w Toruniu, nadawcy Telewizji Toruń, za brak oznaczenia audycji symbolem graficznym. Albo 3 tys. zł dla Wielkopolskiej Telewizji Kablowej za zbyt widoczne lokowanie produktu. Motowizja – dwa przewinienia reklamowe, razem 4 tys. Red Carpet Media – 15 tys. za zbyt wiele reklam. Nadawca Active Family – 11 tys. za alkohol. Golf Zone – 4,3 tys., m.in. za brak treści po polsku. Power TV – 2,2 tys. za reklamy. Fratria, czyli wPolsce24 – 2 tys., też za alkohol.

Państwo według Świrskiego miało wychować obywateli poprzez ekrany. A im mniejszy nadawca, tym większa szansa, że kara zaboli naprawdę. Przewodniczący KTRiT czytał przepisy jak wersety, szukał uchybień jak grzechów. A każdą karę uzasadniał kazaniem.

Wartością szczególnie chronioną była religia. Każdy żart uderzający w „osoby wierzące" stawał się pretekstem do uruchomienia procedury. Przewodniczący tropił „brak poszanowania", „wyśmiewanie symboli" i „kpiny z osób świętych". Nawet jeśli były to półżarty, satyryczne wtręty, audycje internetowe z widownią liczoną w setkach. Nie miało to znaczenia. Bicz musiał spaść.

Świrski z wozu...

A liczby nie kłamią. W 2022 r., kiedy KRRiT kierował jeszcze Witold Kołodziejski, kary wyniosły 475 tys. zł. W 2023 r. – już 2 mln. W 2024 – 2,2 mln. Początek 2025? 21 decyzji – 930 tys. zł. Rosło nie tylko tempo, ale i surowość tłumaczona moralnością i dobrem społecznym.

Świrski twierdził, że to reakcja na lobbing.

W istocie jednak chodziło o coś więcej. O pokaz siły. O ukaranie niepokornych i ostentacyjne upomnienie tych, którzy śmieliby kpić z wyznawanych oficjalnie przez PiS wartości: katolickich, konserwatywnych i tożsamościowych. Zamiast regulatora mieliśmy więc cenzora.

Od kiedy Agnieszka Glapiak objęła stanowisko przewodniczącej, kary finansowe i moralna czujność wobec nadawców się nie zmieniły. Tuż po jej powołaniu rada nałożyła dziewięć kar na różnych nadawców.

„Najwyższe grzywny dotyczyły przekroczenia limitów reklamowych oraz emisji treści niezgodnych z przepisami" – mówiła rzeczniczka KRRiT w kontekście ostatnich działań rady.

W tym samym czasie nadawcy radiowi również tracili: Radio Żnin FM – 5 tys. zł, Rock FM – 1 tys., TV Toya – 300 zł. Powody? Brak wyjaśnień, niewysłanie materiałów, skargi widzów. Stars.TV otrzymuje karę 17 tys. zł, Fratria – 6 tys., R.D.F. Entertainment – 4 tys. za reklamę i przekroczenia limitu. Mało? Nie, to kwoty znaczące dla małego nadawcy. Mechanizm karania z czasów Świrskiego działa nadal.

Największym kuriozum jest to, że Red Carpet TV otrzymała karę 20 tys. zł za emisję filmu „Salo, czyli 120 dni Sodomy" z 1975 r. Piera Paolo Pasoliniego, dzieła uznanego za artystycznie ważne, choć drastyczne i trudne w odbiorze. Klasyka filmowego, który od lat był emitowany w Polsce przez wiele stacji z TVP Kultura na czele. A teraz nagle KRRiT twierdzi, że emisja naruszyła zakaz rozpowszechniania treści „w sposób nieuzasadniony eksponujących przemoc".

Zmieniono przewodniczącego, ale nie zmieniono standardów. A czy to boli koalicję rządzącą, która ponoć kocha wolność słowa i sztuki? Widać nie.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Braun rośnie na brunatnym nawozie

Grzegorz coraz większy

„A ja rosnę i rosnę, latem, zimą, na wiosnę i niedługo przerosnę mamę, tatę i siostrę” – tę piosenkę Fasolek, zapamiętaną z kultowego w latach 80. „Tik Taka” (dziś rządzi TikTok), nuci sobie zapewne tzw. front gaśnicowy, czyli ruch popierający Grzegorza Brauna. Mamy zimę, a mu dalej rośnie.

Konfederacja Korony Polskiej, po usunięciu Brauna z Konfederacji Wolność i Niepodległość, wyraźnie dogania formację Mentzena i Bosaka – a w jednym sondażu, autorstwa Ogólnopolskiej Grupy Badawczej, nawet ją przerosła. Gwoli ścisłości – Nowa Lewica i Partia Razem wespół odnotowały w tym samym badaniu poparcie nieprzekraczające progu 5 proc.

Wielu Polaków nieszczególnie raduje się rosnącym poparciem dla Brauna – w sondażu dla „Rzeczpospolitej” prawie 48 proc. respondentów poparło delegalizację KKP, przeciw było niespełna 28 proc., a nieomal co czwarty respondent nie miał zdania w tej sprawie.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Prawacki pakt

Myliłby się każdy, kto by sądził, że lider KKP jest jak ten chłop, co śpi, a mu w polu rośnie. Jego działania są bardzo logiczne i przemyślane. Czego najświeższym przykładem jest zaproponowanie prawackiego paktu senackiego pod patronatem prezydenta Karola Nawrockiego. W pakcie uczestniczyć miałyby dwie Konfy, PiS i prawy plankton polityczny. Ma on łączyć środowiska spod znaku prawicy, narodu, patriotyzmu, wolności i konserwatyzmu.

Braun ogłosił: „Niepodległościowy pakt formacji patriotycznych, prawicowych – do tego wzywamy. Konfederacja Korony Polskiej, chociaż w sposób głupi i podły stygmatyzowana, eliminowana z życia publicznego, z dostępu do mediów, nie zaprzestaje pracy politycznej, której celem jest odzyskanie niepodległości”…

Po czym sprytnie przerzucił piłkę na boisko swych konkurentów/potencjalnych koalicjantów: „Nasza propozycja wstępna będzie tak dobra dla każdego z potencjalnych uczestników niepodległościowego paktu senackiego, że praktycznie z góry możemy ją nazwać »propozycją nie do odrzucenia«. Chodzi o wystawienie kandydatów, którzy dla wyborców wszystkich ugrupowań współtworzących pakt będą mieli nieposzlakowaną opinię w zakresie niepodległości Polski”…

Swym zręcznym posunięciem przywódca Korony niejako przejmuje słynne hasło: nie ma wroga na lewicy. Bez głosu braunistów, często rozczarowanych zwolenników PiS-u, Nawrocki by nie został prezydentem. I w trakcie debaty wyborczej przed drugą turą Nawrocki upomniał się o miłośników frontu gaśnicowego, zarzucając Trzaskowskiemu brak szacunku wobec nich.

Sprawa jest prosta jak włos Mongoła – senacki pakt byłby akuszerem przyszłej koalicji rządzącej, w której właśnie Braun byłby czynnikiem łączącym Mentzena i Bosaka z Kaczyńskim. Jednomandatowe okręgi senackie wymagają tworzenia ogólnokrajowych bloków, co pokazał rok 2023, gdzie w wyborach do senatu PiS – mimo największego poparcia partyjnego – dostało tęgie lanie.

Ukochany Grzesiu

Nie jest bynajmniej przypadkiem, że Wirtualna Polska swoją rozmowę z Nawrockim zatytułowała słowami prezydenta: „Tusk szkodzi bardziej niż Braun”. Głowa państwa w pokrętny sposób wyjaśniała, że „zachowuje pragmatyzm”, gdyż pytanie o to, kto bardziej szkodzi naszemu krajowi, należy „odnosić do realnych możliwości obu polityków w tym momencie”.

Tuskowi, od lat głośno podsycającemu wojnę z PiS – a po cichu przejmującemu pisowskie postulaty i hasła – powyższa opinia spadła jak manna z nieba. Odpowiedział w mediach społecznościowych krótko: „Prezydent Nawrocki oznajmił właśnie, że bliżej mu do rusofila i antysemity Brauna niż do mnie. Nigdy w to nie wątpiłem. A od dziś przynajmniej nikt nie może udawać, że jest inaczej”.

Koalicja Obywatelska, konsumująca właśnie resztki elektoratu swoich koalicjantów, ma nowe hobby. Nie dysponując porywającym programem pozytywnym – w trakcie rządów nie załatwiając niczego ważnego dla zwykłych ludzi – straszy: albo my, albo PiS z Braunem. To wiatr w żagle Tuska i pocałunek śmierci dla jego koalicjantów.

Prominentny pisowiec Jacek Sasin, zapytany o scenariusz koalicji rządowej z Braunem, stwierdził wprost: „Trzeba będzie poważnie się nad tym zastanowić”. I dodał, że obecnie trudno to sobie wyobrazić, ale jeśli KKP pojawi się w sejmie i nie da się sprawować władzy bez niej, to kto wie…

„Grzegorz Braun opowiada rzeczywiście różne głupoty, natomiast nie mam takiego przekonania, że gdyby trzeba było mówić o sprawach poważnych, a nie walczyć tylko o swoje miejsca na scenie politycznej, to nie dałoby się być może jakiejś poważnej rozmowy przeprowadzić” – spointował Sasin.

Koalicja PiS-u z Braunem o tyle ma sens, że bez wieloletniego karmienia środowisk nacjonalistycznych, obskuranckich – a może i chwilami klerofaszystowskich – KKP nigdy nie wyrosłaby na realną siłę polityczną, a także ideologiczną.

Jeżeli Elżbietę Rakuszankę zwało się matką królów (urodziła czterech monarchów europejskich), to Brauna może trzeba będzie nazywać ojcem premierów.

Spielberg na naszą miarę

Monika Braun, siostra Grzegorza, tropiąca z nadzieją, acz bez skutku, żydowskie korzenie swej rodziny (nazwisko zobowiązuje!) powiedziała w „Gazecie Wyborczej”: „Nie chcę psychologizować, ale wydaje mi się, że Grzegorz musiał się mierzyć z poczuciem niedowartościowania, bo nie powtórzył sukcesu artystycznego ojca. Chciał zostać reżyserem fabuł, marzył zapewne, że będzie Spielbergiem albo Francisem Fordem Coppolą, co mu się nie udało”.

Faktycznie, z Grzegorza jest niezły artysta.

KAT

Przepis na polexit

Bajki dla myślących

Nocne głosowanie, uśmiech prezydenta i wasalna Polska

Dziś opowiem wam bajkę, która ostatnio dręczy mnie, niepokoi i smuci – śni mi się po nocach. A rzecz dotyczy wiszącego nad nami niebezpieczeństwa. I nie chodzi tym razem o groźbę ataku dronów albo, co dla niektórych jeszcze bardziej przerażające, czarnego ekranu smartfona. Chodzi o polexit, czyli jak przekonuje naród nacjonalistyczna prawica „wielką, suwerenną Polskę”.

Na początku grudnia IBRIS na zlecenie Wirtualnej Polski opublikował sondaż, z którego wynika, że 25 proc. Polaków opowiada się za opuszczeniem przez Polskę Unii Europejskiej, a ok. 10 proc. respondentów jest niezdecydowanych. A przecież pamiętam, że w 2022 r. podobne sondaże wskazywały na to, że za pozostaniem w UE opowiadało się 92 proc. Polaków – dziś to tylko 65,7 proc. ankietowanych. Nie mam wątpliwości, że ten wynik jest skutkiem głównie pisowskiej i konfederackiej propagandy. Ale z tego sondażu wynika nie tylko, że za polexitem opowiada się 47 proc. wyborców PiS i 41 proc. Konfederacji. Wynik tego badania pokazuje także, że tylko 80 proc. wyborców obecnie rządzącej koalicji jest przeciwnych opuszczeniu Unii.

Przyznam, że ten poziom poparcia dla polexitu bardzo mnie przeraża. Nawet mniejsze poparcie społeczne dla konkretnych ustaw potrafiło politykom dawać podstawę do wprowadzania ich w życie.

A przecież rozwiązanie umowy międzynarodowej, jaką są Traktaty Europejskie, nie wymaga rozstrzygnięcia w referendum. Wystarczy wniosek ministra spraw zagranicznych pozytywnie rozpatrzony przez Radę Ministrów i przekazanie go w formie ustawy do sejmu. Myślisz, że taką ustawę mógłby zablokować senat? Nie! Jeśli senat odrzuci ustawę, to wraca ona do sejmu, a tam do odrzucenia stanowiska senatu wystarczy bezwzględna większość: 50 proc. plus jeden głos. Czyli wystarczy nocne głosowanie w sejmie, a następnie podpis uśmiechniętego od ucha do ucha prezydenta Nawrockiego.

Jeśli za dwa lata PiS wróci do władzy i stworzy rząd z Konfederacją albo z „koroniarzami” Grzegorza Brauna, to prezydent żadnych wątpliwości, czy podpisać ustawę polexitową, mieć nie będzie.

Nie żebym uważała, że Unia Europejska jest gwarantem wiecznej szczęśliwości i dobrobytu, bo tak nie jest, ale pozostawanie Polski poza nią w realiach współczesnego świata:

- uczyni ją mniej bezpieczną, zależną od dalekich, kapryśnych i zapatrzonych w swoje problemy Stanów Zjednoczonych. Posługiwanie się w Polsce retoryką suwerennościową to w rzeczywistości akceptacja podległości Stanom Zjednoczonym – „samowasalizacja”. Donald Trump i J.D. Vance celowo wspierają ugrupowania opowiadające się za suwerennością narodową i niepodległością państw Europy, aby w efekcie doprowadzić do polityki zależnej wobec Waszyngtonu;
- stworzy trudne lub niemożliwe do pokonania problemy rozwojowe i ekonomiczne. W przypadku rozpadu spójności UE, państwa członkowskie byłyby kolektywnie wielkimi przegranymi nowych negocjacji handlowych z globalnymi potęgami;
- i – co może najbardziej przerażające – skarze nas na rządy nacjonalistycznej, konserwatywnej prawicy. Co ważne: będą to rządy autorytarne – prawdopodobnie z odpowiednią dla nowego systemu konstytucją i prezydentem Karolem Nawrockim jako liderem nowej politycznej formacji.

Właśnie te myśli budzą mnie po nocach przerażoną.

Ale co robić, aby ta potworna bajka nie stała się rzeczywistością? Trzeba zrozumieć, co się dzieje, i działać. Działać już! Pisać, rozmawiać, uświadamiać ludziom sprzedawany im kit.

Słowo „suwerenność” zwolennicy polexitu uczynili hasłem. Trzeba je odczarować. To ich broń i barykada. Przeciw komu? Przeciw ideologii elit Zachodu, realizujących program neoliberalnej globalizacji świata. Żądanie suwerenności narodowej czy państwowej stało się odpowiedzią i logiczną reakcją wobec niechcianego sposobu globalizacji. Ludzie, reagując bardziej intuicyjnie niż analitycznie, czują:

nie chcemy dać się okradać z unikalności naszej kultury, z naszej tożsamości, z efektów naszej pracy. A to silne emocje. A wtedy każdy, kto żąda suwerenności, staje się przyjacielem. Dlatego ten ludzki odruch wykorzystują skutecznie polityczni populiści.

W ich ustach słowo „suwerenność” jest nie tylko narzędziem zamulania ludzkich mózgów nacjonalizmem, ale przede wszystkim drogą do władzy.

Ale przecież suwerenność państwa, jak każda inna niezależność od kogoś lub czegoś, nie musi być ani zła, ani dobra. W skrajnym rozumieniu brak państwowej suwerenności może oznaczać obcą okupację skutkującą akulturacją, wyzyskiem i eksterminacją. Polacy znają to aż za dobrze. Ale w dążeniu do suwerenności nie można nie zauważać, że jej ostatecznym skutkiem może okazać się nasza suwerenna wewnętrzna niewola – upaństwowiony i unarodowiony ucisk, niesprawiedliwość, reżim.

Po drugiej stronie tej skrajności zastąpienie suwerenności wspólnotą może oznaczać więcej siły współpracy i mądrości, ale w naszej społecznej i politycznej rzeczywistości to niestety tylko piękna bajka.

Polscy „suwereniści” marzą o opiece Wielkiego Brata zza oceanu. A Wielki Brat, jak jasno wyraził się w nowej „Strategii 2025”, marzy o podziale UE. Stworzeniu z Austrii, Słowacji, Węgier i Polski swojej strefy wpływów – bufora od Wschodu.

Nie dbajmy o poprawność polityczną, która nie pozwala nam publicznie powiedzieć: „nie chcemy suwerenności – chcemy naszej Unii”. Trzeba nam bowiem odciąć się od wszystkiego, co głupie, aspołeczne – ale trzeba nam braku suwerenności wobec wszystkiego, co mądre, prospołeczne i pożądane.

ANNA GRODZKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

W reakcji na wpisy pisowskiego polityka Mariusza Kamińskiego (podpis pod fotomontażem Maduro w otoczeniu amerykańskich komandosów: „Zobacz, Donaldzie Tusk, jak kończą dyktatorzy”) oraz pisowskiego propagandysty Tomasza Sakiewicza („Assad, Maduro… Tusk?”) można było postąpić mądrze albo głupio. Mądrze – to te wpisy przemilczeć lub ich autorów wyśmiać za logiczne, historyczne, politologiczne, a nawet ortograficzne nieuctwo: Sakiewicz nie potrafi poprawnie zapisać nazwiska byłego przywódcy Syrii…

Pisowski polityk Jarosław Sellin, poseł, były wiceminister kultury, postanowił zareagować głupio i obydwu durnych nienawistników próbować wytłumaczyć. 5 stycznia w audycji radiowej „Poranek TOK FM” powiedział, że Kamiński i Sakiewicz mieli powody, żeby porównać Tuska do Maduro, bo pierwszy w więzieniu „był torturowany” (chociaż nie był), a pracownicy stacji telewizyjnej drugiego nie są wpuszczani na rządowe konferencje prasowe (byli niewpuszczani, teraz już są).

Żałość i żenada. Ale za to Sellin może mieć nadzieję, że za lojalność, choćby tak idiotyczną, prezes Kaczyński umieści jego nazwisko na biorącym miejscu w najbliższych wyborach parlamentarnych.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Dlaczego nic nam nie wychodzi w styczniu (i czyja to wina)

Fałszywy kalendarz

Chciałbym zapytać o Wasze postanowienia noworoczne. Te, które miały zmienić życie, ciało i charakter. Które z nich już się spełniły? Żadne?! Serio? Nie musicie się wstydzić. Nie jesteście gorsi. Jesteście normalni. Moje postanowienia noworoczne również poległy i polegają regularnie, choć od czterech lat są dokładnie takie same. Rzucam palenie z tą samą konsekwencją, z jaką wracam po zapalniczkę.

Jak to się dzieje, że postanowienia noworoczne – świeże, pachnące sylwestrem i przełomem – same się niweczą już w pierwszych dniach stycznia? Że decyzje podejmowane z taką powagą, przy huku fajerwerków i wzniosłych toastach, zanikają, pozostawiając frustrację, poczucie winy, obniżoną samoocenę oraz delikatną styczniową depresję gratis?

Otóż dzieje się tak dlatego, że te postanowienia po prostu nie mogą się spełnić. Nie dlatego, że jesteśmy słabi. Nie dlatego, że brak nam charakteru. Po prostu nie ma szans.

Jak Kościół okradł nas z wiosny?

Nowy rok zaczynający się 1 stycznia nie jest bowiem niewinną datą. To narzędzie poznawcze. Mechanizm, który od dziecka uczy nas myślenia o czasie w sposób zasadniczo sprzeczny z życiem, biologią i elementarnym rozsądkiem. Prawda jest zupełnie inna. Nowy rok nie zaczyna się pierwszego stycznia.

Z punktu widzenia astronomii Ziemia wykonuje pełny obieg wokół Słońca w 365 dni i pięć godzin. I tyle. Z tej perspektywy rok mógłby zaczynać się w dowolnym, całkowicie umownym momencie. Ale wybrano najgorszy możliwy.

Kalendarzowy dowcip zawdzięczamy papieżowi Grzegorzowi XIII, czyli chcąc nie chcąc, Kościołowi. Część z Państwa z dumą deklaruje, iż Kościoła nie poważa, jego wpływów nie uznaje i indoktrynacji się nie poddaje. A mimo to co roku grzecznie rozpoczynacie nowe życie dokładnie wtedy, kiedy papież kazał.

Zimowy sabotaż

Faktycznie, biologia ma swój własny kalendarz. W realnym cyklu przyrody mamy: wiosnę – czas wzrostu, lato – ekspansję, jesień – zbiory i bilans, a zimę – zamknięcie i odpoczynek.

Zimą matka natura zwalnia obroty. Rośliny obumierają, a zwierzęta zapadają w sen i z komarami też nic się nie dzieje. To dotyczy również nas, ludzi. Choć cywilizacja próbuje nas z tego kręgu wyrwać. Niestety, bezskutecznie. W środku zimy funkcjonujemy na minimalnej energii biologicznej, w fazie spowolnienia, chorób i deficytu światła. Styczeń to miesiąc, w którym jedyną wartą podjęcia decyzją jest odpowiedź na pytanie: „Spać dalej?”.



Rys. WIDGET

W środku zimowej depresji nie da się zacząć niczego! Dlatego Wasze/nasze postanowienia są w sposób naturalny niweczone. Prawdziwy bowiem początek roku i cyklu biologicznego północnej półkuli to wiosna!

Nowy Rok powinien być wyznaczany na dzień równonocy wiosennej, a nie w okolicach zimowego przesilenia. Wszystko odnawia się i zaczyna około 23 marca, a nie 1 stycznia!

Budzik natury dzwoni w marcu

Oczywiście bystrzejsi ode mnie zauważyli to tysiące lat temu. Wystarczyło wyjść z jaskini, spojrzeć na pole i zauważyć prostą zależność: jak coś zaczyna rosnąć, to znaczy, że coś się zaczęło. Stąd ten staroświecki, ale uparty fakt: nowy rok = wiosna.

Wiosna jako początek roku była oczywistością dla większości dawnych kultur. Rolniczych, pasterskich, miejskich. Nowy cykl zaczynał się wtedy, gdy wracało światło, można było siać, planować, rodzić, budować. Liczyć przyszłość, a nie walczyć o przeżycie.

Tymczasem chrześcijaństwo, które od dwóch tysięcy lat zapewnia, że ma szczególne rozeznanie w boskiej woli, planie stworzenia i sensie istnienia, ten drobny, niepodważalny fakt postanowiło zignorować. Europa przez długi czas zachowywała resztki rozsądku. Jeszcze we wczesnym średniowieczu nowy rok liczono od wiosny – często 25 marca, w okolicach równonocy, kiedy wszystko się zgadzało: kalendarz, pogoda, rolnictwo i psychika człowieka.

Bóg się nie zna, Kuria Rzymska wie lepiej

Kościół, jak zwykle, uznał, że wie lepiej. Kosmos kosmosem, przyroda przyrodą, ale porządek liturgiczno-administracyjny musi być! I tak noworoczny fałsz zaczął się rozprzestrzeniać: najpierw po Europie, potem wraz z ekspansją kulturową, kolonialną i cywilizacyjną – po całej półkuli północnej.

Ludzie zaczęli wierzyć, że Bóg, Stwórca nieba i ziemi, zaplanował restart świata na okres lodu, ciemności i grypy. To nie jest tradycja, to wieloletnie nieporozumienie, które przetrwało, bo miało pieczątkę, autorytet i dobrą dystrybucję.

A powoduje wiele nieszczęść: ludzie planują maksimum aktywności w minimum zasobów, postanowienia noworoczne masowo upadają, winą obarcza się słabą wolę, a nie złą architekturę czasu. Pory roku są dekoracją, nie strukturą, czas staje się abstrakcją administracyjną, a nie doświadczeniem.

Psychologicznie 1 stycznia czyni rok jednolitym i płaskim. Produkuje poczucie, że „czas leci”, zamiast, jak jest w rzeczywistości, że „czas krąży”. Ma to ogromne skutki egzystencjalne: więcej lęku przed starzeniem, więcej presji „bycia na bieżąco”, mniej zgody na fazy słabości. Kościół, jak zwykle, zafundował nam kolejną porcję absurdu. Ale czego się spodziewać po instytucji, która wierzy w dziewicze poczęcie i zmartwychwstanie?

Błąd, którego nie da się już wycofać

Niestety, tej fatalnej pomyłki chrześcijaństwa – dokonanej w czasach świec, pergaminu i absolutnej pewności siebie – w erze komputerów nie da się już cofnąć. Błąd kalendarzowy, raz wprowadzony do obiegu, rozlał się po świecie jak aktualizacja systemu, której nikt nie czytał, ale wszyscy kliknęli „akceptuj”. Lokalne kalendarze – w Chinach, Izraelu czy Iranie – owszem, istnieją. Mają swoje święta i sensy, ale pełnią dziś rolę regionalnego folkloru. Hegemonem pozostaje kalendarz gregoriański – globalny standard czasu, który rządzi bankami, serwerami, giełdami i terminami oddania PIT-u.

Trzeba uczciwie przyznać: ma to jednak zaletę. Skoro ostatecznie okazało się, że Ziemia jest kulą, to w tym samym momencie, gdy my drżymy w styczniu, misie koala przeżywają pełnię lata. Procesy biologiczne na południe od równika bowiem przebiegają dokładnie odwrotnie niż u nas. Z tego punktu widzenia sensowne było oderwanie czasu od dawnych narracji rolnych i sezonowych. Świat potrzebował czasu „neutralnego” geograficznie: wygodnego dla państw, rynków i maszyn, nawet jeśli kompletnie oderwanego od lokalnego życia, pogody i nastroju człowieka.

Tego już nie naprawimy

I tak już zostanie. Przynajmniej do momentu, w którym na stałe opuścimy tę planetę na zadupiu Wszechświata i konieczne będzie globalne ustanowienie jednego, czysto fizyczno-technicznego czasu, według którego działa świat maszyn, satelitów i algorytmów.

Niestety, my nie doczekamy, skoro dziś żyjemy w rzeczywistości, w której przesunięcie jednej godziny z czasu letniego na zimowy okazuje się dla Unii Europejskiej zadaniem niewykonalnym od sześciu lat – mimo zgody Parlamentu Europejskiego. Postulat, by nowy rok zaczynał się 25 marca, potraktowano by nie jako reformę, lecz jako urojenia kliniczne osoby wymagającej obserwacji.

Ten tekst nie powstał jednak po to, by zmieniać świat. On jest po to, byście zrozumieli coś ważniejszego: z Wami jest wszystko w porządku. To nie Wy zawiedliście. To znów zawiódł Kościół katolicki. Jak zwykle.

ROBERT JARUGA

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Od 1 stycznia Polska zyskała sześć nowych miast. Nie, nie wyrosły drapacze chmur, ale ministerialna decyzja zmieniła status Stanisławowa, Małkini Górnej, Staroźreb, Janowa Podlaskiego (który odzyskał prawa miejskie po 70 latach), Branic i Janowa w powiecie częstochowskim. Gratulujemy mieszkańcom! Od teraz możecie oficjalnie mówić: „jadę do miasta”, nawet jeśli nadal widzicie więcej krów niż rond. Polska się urbanizuje, choć powoli – rzekłby zapewne Jerzy Urban.

▮ 1 stycznia stuknęło 15 lat od wprowadzenia „tymczasowej” stawki VAT 23 proc. na trzy lata. Tymczasowość okazała się wieczysta jak prowizorka z drutu i taśmy. Państwo pamięta, żeby brać – zapomina, żeby oddać. A my świętujemy rocznicę elastycznego czasu i nowej matematyki: trzy równa się 15 plus minus nieskończoność.

▮ Sylwester rozgrzał Niemców do czerwoności. Mimo surowych ograniczeń w sprzedaży fajerwerków nasi zachodni sąsiedzi ruszyli na zakupy... do Polski! Czyżby wspomnienia z lat 1939–1945, kiedy to Niemcy specjalizowali się w fajerwerkach na skalę europejską, wciąż były żywe? W przygranicznych sklepach, np. w Słubicach, Niemcy stanowią większość klientów i wydają jednorazowo kilkaset euro. Cóż, prawo prawem, ale sentyment do strzelania z racy w niemieckim narodzie nie zginął.

▮ Lubelscy funkcjonariusze Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości zatrzymali obywatela Nigerii podejrzanego o udział w międzynarodowej grupie kochanków oszustów. Nieszczerzy kochankowie rozkochiwali swoje ofiary przez internet, budowali z nimi relacje emocjonalne, a następnie wyłudzali pieniądze na rzekome problemy życiowe. Po otrzymaniu gotówki zrywali kontakt i znikali wraz z uczuciem. Zatrzymany w Lublinie mężczyzna miał romansować w ten sposób co najmniej od 2022 r., posługiwać się wieloma fałszywymi tożsamościami i prać pieniądze pochodzące z oszustw. Grozi mu do 10 lat więzienia. Zastanawiające jest jednak coś innego: w wersji internetowej nazywamy takie działania oszustwem i ścigamy sprawcę, natomiast w wersji analogowej – domowej, małżeńskiej – często mówimy o zawiedzionych uczuciach i życiowej nauczce. Czy problemem rzeczywiście jest samo wyłudzanie pieniędzy, czy raczej to, komu wolno robić to bezkarnie?

▮ W Goreniu Dużym, w tamtejszym mini zoo, psy – rzecz jasna polskie i patriotycznie usposobione – urządziły sobie małą czystkę etniczną. Sześć sztuk inwazyjnych gatunków, a konkretnie pięć kangurów i jedna muflonka, padło ofiarą psiego nacjonalizmu. Zostały na śmierć zagryzione, a ich truchła rozszarpane. Sprawa, zgłoszona do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Bydgoszczy, budzi pytania. Czyżby psy, znudzone monotonią wiejskiego życia, postanowiły wziąć sprawy w swoje łapy? A może ktoś im pomógł? Dyrekcja bada, czy to spontaniczny akt psiej agresji, czy też ktoś maczał w tym palce.

▮ Nie jest to nawet najgorsza wiadomość z tegotygodniowych wieści gminnych dotyczących psów. W Krośnie Odrzańskim siedmioletni pies rasy amstaff w piwnicy domu zaatakował mężczyznę – znajomego domowników. Pogryziony w stanie krytycznym został przetransportowany do szpitala śmigłowcem LPR. Mimo pomocy zmarł w wyniku rozległych obrażeń. Ale to wciąż nie jest najgorsze. Najgorsza jest narracja medialna, w której pies – jako gatunek, zbiorowo i hurtowo – nagle przestaje być najlepszym przyjacielem człowieka. „Kolejny wstrząsający atak psów”, „fala agresji”, „psy w Lubuskiem” – grzmią nagłówki, jakby właśnie odbył się zjazd psów bojowych z uchwałą o eskalacji przemocy. Dajcie spokój. Naprawdę dajcie spokój. To nie psy, tylko konkretny pies w konkretnych okolicznościach. Reszta czworonogów nie musi za to składać oświadczeń ani chodzić na medialną resocjalizację.

▮ W podlubelskiej gminie Wólka dzieją się rzeczy straszne. CBA obaliło legalnie wybranego wójta Edwina G. i jego zastępcę, oskarżając ich o korupcję, która póki co żyje głównie w aktach oskarżenia. Na ich miejsce zainstalowano marionetkową władzę z Pawłem T. na czele. Jak to bywa, gdy władza nie pochodzi z woli ludu, tylko z decyzji urzędniczej, wszystko się sypie. Nowy wójt zapomniał o przetargu na odśnieżanie dróg i umowie na wywóz śmieci. Efekt? Wólkę zasypał śnieg i zalały śmiecie. Czyżby CBA, walcząc z korupcją, stworzyło większy problem? W Wólce na pewno tak uważają.

▮ W Polsce, jak wiadomo, nie ma żadnych problemów. Budżet pęka w szwach, a wszystkie ważne inwestycje dawno zrealizowano. Dlatego też posłowie Marek Biernacki (Trzecia Droga), Krzysztof Szymański (Konfederacja) oraz posłowie Koalicji Obywatelskiej: Adam Krzemiński, Henryka Krzywonos-Strychalska (ta sama, która zatrzymała strategiczny tramwaj w 1980 r.), Rafał Siemaszko i Henryk Szopiński w trosce o przyszłość narodu napisali do ministra obrony w sprawie... kosmodromu! Posłowie po głębokich analizach ustalili, że idealnym miejscem na tę inwestycję jest Ustka. Wszak do kosmosu stamtąd stosunkowo blisko – jakieś 100 km. Kosmodrom w Ustce ma być „impulsem do rozwoju sektora transportu suborbitalnego”. Być może. A może i nie. Jedno jest pewne: nasi wybrańcy dawno już odlecieli w kosmos. Pytanie tylko, czy kiedykolwiek wrócą na Ziemię.

▮ Kraków, w imię „nowoczesności”, odciął się od reszty kraju i świata! Od 2 stycznia na rogatkach miasta stanęły gniazda straży miejskiej i policji (na razie bez karabinów maszynowych) uzbrojonych w gaz, pałki, kajdanki i kamery. Każda próba wjazdu do miasta samochodem „biedaka” – czyli niespełniającym norm czystości spalin – karana jest mandatem 500 zł. Oczywiście, można też zapłacić online lub w „strefomatach” na stacjach paliw. Kraków, w kategorii „miast opresji” wysforował się na pierwsze miejsce. Rada? Omijajcie to badziewie autostradą A4 lub drogą S7. Tam jeszcze nie kasują. Ale długo to nie potrwa.

▮ Teraz będzie trochę dłużej. W dziejach Warszawy są obiekty, które wracają uparcie jak źle napisane ustawy. Na przykład radar prędkości stojący przy Alejach Jerozolimskich – urządzenie, które można śmiało uznać za pomnik relacji państwa z obywatelem. Pojawił się jako wyraz troski o bezpieczeństwo. W teorii miał dyscyplinować kierowców, w praktyce – dyscyplinować statystykę mandatową. Ustawiony na jednej z najszerszych i naj-

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

SŁOWO CZERWONE

Czarek, przyjaciel ludu

Pożegnanie towarzysza

Wyszedł rano z psem, wziął prysznic i położył się, mówiąc, że się źle czuje. Już nie wstał. Zawał. Odszedł Czarek Miżejewski, socjalista, mój przyjaciel, przyjaciel wszystkich ludzi. Byliśmy razem na barykadach, ale z czasem on zbudował własną. Polegała na nieustającej walce o zmiany systemowe, które ułatwiłyby życie tym, którym nikt niczego nie ułatwia.

W stanie wojennym wydawaliśmy pismo „Robotnik", a Czarek redagował dodatek do „Robotnika" pod niepozornym tytułem „Praca, płaca, BHP". Nawet w czasach konspiracji troszczył się o to, co podstawowe dla ludzi pracy. Był uparty. Kiedy kończyliśmy już wypisywać matryce „Robotnika" bezpieka nas zwinęła i trafiliśmy na dołek. Po 48 godzinach wróciliśmy do tego samego lokalu redakcyjnego i podjęliśmy naszą pracę na nowo. Pismo ukazało się w terminie.

Zawsze kiedy wychodziliśmy na ulice, Czarek szedł w pierwszym szeregu z tubą lub czerwonym sztandarem PPS w ręku. Był odważny, choć nie był typem zadymiarza. Zaraz po demonstracji siadał do czytania i pisania. Bo ta nasza walka była po coś. Po to by ludzie lepiej zarabiali, pracowali w godnych warunkach, by mieli po wszystkim porządne emerytury, by mieli gdzie mieszkać, leczyć się. Sprawiedliwość społeczna w jego wersji to niekończące się poprawki do ustaw – a nawet całe projekty ustaw.

Niewielka część jego znakomitych pomysłów doczekała się realizacji. Pierwsza – gdy został posłem PPS – była ustawa dająca pracownikom zatrudnionym przy azbeście sprawiedliwe warunki zmiany zawodu czy odejścia na emeryturę. Dzięki niej koszty społeczne odejścia od azbestu były stosunkowo niewielkie.

Kiedy został wiceministrem pracy, zwiększył jeszcze tempo i intensywność pracy. Nareszcie miał jakiś większy wpływ na kształtowanie polityki społecznej i prawa pracy. Zawsze miał mnóstwo pomysłów, jak poprawić ludzki los.

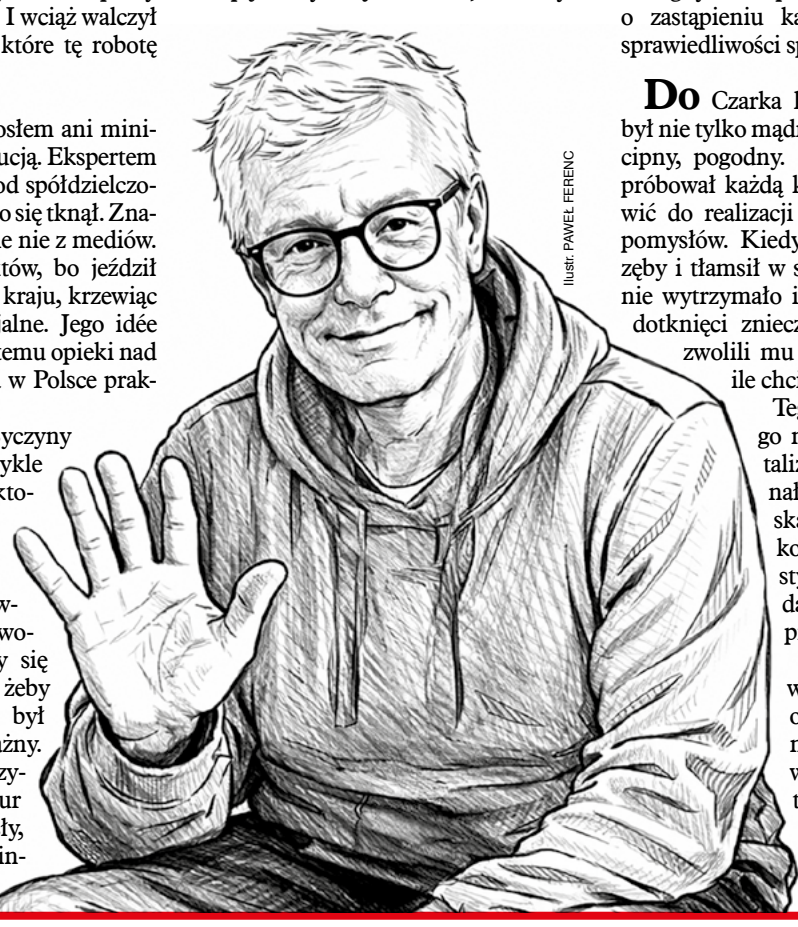
Z tymi pomysłami szedł do decydentów, kłócił się, przekonywał. I niestety przeważnie przegrywał. Bo system opiera się postępowi społecznemu.

Wszystkie te porażki brał na klatę i nie skarżył się. Kiedy okazywało się, że zmiany, które proponował, napotykają na zbyt wielki opór, poszedł w lud budować spółdzielnie socjalne. Dawał ludziom pogrążonym w rozpaczy i beznadziei nowe życie. I wciąż walczył o rozwiązanie prawne, które tę robotę spółdzielczą ułatwią.

I choć nie był już posłem ani ministrem, Czarek był instytucją. Ekspertem od polityki społecznej, od spółdzielczości, od wszystkiego, czego się tknął. Znało go mnóstwo ludzi. Ale nie z mediów. A z osobistych kontaktów, bo jeździł niestrudzenie po całym kraju, krzewiąc idee spółdzielcze i socjalne. Jego idée fixe było stworzenie systemu opieki nad ludźmi starszymi, która w Polsce praktycznie nie istnieje.

Przeniósł się do Byczyny w Opolskiem, ale zwykle był w drodze. Kontaktowaliśmy się rzadko. Za rzadko, choć wciąż obaj marzyliśmy o jakimś nowym początku, również politycznym. Dzwoniliśmy do niego, żeby się poradzić. Dzwoniliśmy, żeby usłyszeć jego głos, bo był dla nas socjalistów ważny. Najważniejszy. Ciągle czytał i umiał z tych lektur tworzyć nowe pomysły, nowe idee. Ostatnio zaintrygował nas koncepcją odbudowy lewicy wokół idei nowej umowy społecznej. Zdążył nakreślić tylko zarys. I z tym nas zostawił.

Obaj zaczęliśmy od działań w podziemiu, wydając „Robotnika", tworząc Grupę Polityczną Robotnik, która była zalążkiem przyszłej, odrodzonej PPS. Potem poszliśmy razem do sejmu, aby w końcu zanurzyć się w działaniach społecznikowskich.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Historia PPS była pełna sporów i rozłamów. Pamiętam, że pewnego dnia mieliśmy z Czarkiem stanąć przed sądem partyjnym. I wtedy on z właściwym sobie humorem stwierdził, wzruszając ramionami: „Z socjalistów nas przecież nie zdejmą".

Nigdy nie porzuciliśmy marzenia o zastąpieniu kapitalizmu systemem sprawiedliwości społecznej.

Do Czarka ludzie się garnęli, bo był nie tylko mądry, ale i skromny, dowcipny, pogodny. Był optymistą, który próbował każdą kolejną władzę namówić do realizacji swoich znakomitych pomysłów. Kiedy odmawiali, zagryzał zęby i tłamsił w sobie gorycz. Aż serce nie wytrzymało i pękło. Pękło, bo źli, dotknięci znieczulicą ludzie nie pozwolili mu zrobić dla ludzi tyle, ile chciał.

Tego wielkiego i mądrego marzyciela zabił kapitalizm. Ale go nie pokonał. Zbieramy teraz jak skarby jego projekty, koncepcje, notatki i teksty, aby spróbować pójść dalej, dzięki niemu, przyjacielowi ludu.

Póki co śni mi się wciąż, że pogłoski o twojej śmierci są nieprawdziwe, a ty wciąż żyjesz. I tak jest, towarzyszu.

PIOTR IKONOWICZ

Streetworking, czyli państwo w adidasach

Przeciw bezdomności, nie bezdomnym

Państwo polskie ma swoją ulubioną metodę pomagania: czeka, aż człowiek sam przyjdzie do okienka. Tyle że część ludzi w kryzysie bezdomności do żadnego okienka już nie przyjdzie. Nie dlatego, że „im się nie chce", tylko dlatego, że ich codzienność to park, dworzec, pustostan, kanał ciepłowniczy. A system przez lata nauczył ich jednego: instytucjom się nie ufa.

Streetworking działa inaczej. To praca socjalna w terenie: docieranie do osób w bezdomności ulicznej tam, gdzie faktycznie żyją, i budowanie relacji, która bywa pierwszym krokiem do wyjścia z kryzysu. Regularne wizyty, rozmowy, cierpliwe „jestem"; pomoc, która nie zaczyna się od formularza, tylko od tego, że ktoś w ogóle zauważył, że człowiek jest człowiekiem.

W listopadzie Gdańsk świętował 20-lecie zawodowego streetworkingu. Miasto finansuje usługę, a realizuje ją Towarzystwo Pomocy im. św. Brata Alberta: sześcioro streetworkerów chodzi po mieście na dwie zmiany od poniedziałku do piątku, a w weekend dyżurują pod telefonem. I to jest ważna różnica między „akcją" a usługą: tu ktoś jest na stałe, a nie „w ramach projektu do końca roku, potem zobaczymy".

Bo streetworking to nie jest „rozdawanie herbaty" (choć czasem i herbata ratuje palce, a czasem po prostu godność), tylko pomost między ulicą a instytucją. Dokumenty, zdjęcie do dowodu, wniosek o świadczenie, długi, kontakt z lekarzem, tłumaczenie procedur na język polski stosowany. Coraz częściej streetworkerzy wchodzą w obszar zdrowia: odmrożenia, rany, owrzodzenia, zatrucia, wycieńczenie, a także kryzysy psychiczne i sygnały samobójcze. Czyli dokładnie tam, gdzie państwo lubi wjechać na sygnale, ale wyłącznie wtedy, gdy jest już naprawdę źle.

Dziś streetworking działa w 33 gminach w Polsce. Czasem jest nawet rozbudowany, jak w bogatej Warszawie. Tam miasto zleca go kilku organizacjom działającym w partnerstwie, a pary streetworkerów pracują w każdej dzielnicy. W 2024 r. program objął wsparciem 1380 osób, a do końca października 2025 – 1509. I tu jest sedno: w dużym mieście da się zbudować system, a w mniejszym często kończy się na „projekcie". W praktyce: jak gmina ma lepszy rok i mniej wstydu, to pomoże. Jak ma gorszy – to człowiek może sobie umierać na ławce, byle nie pod ratuszem.

Ktoś powie: „No dobrze, ale ile to wszystko kosztuje?". Właśnie: kosztuje mniej niż obojętność. W ramach pilotażu „Housing First – Najpierw Mieszkanie" (Gdańsk, Warszawa, Wrocław; lata 2019–2022) oszacowano, że osoba doświadczająca bezdomności ulicznej kosztuje finanse publiczne średnio ok. 1800 zł miesięcznie – głównie przez interwencje zdrowotne i ratunkowe. Na podstawie ministerialnego badania z lutego 2024 r. (w jedną noc) – wydatki oszacowano na ok. 144 mln zł rocznie; tylko za ludzi śpiących w przestrzeni publicznej.

A to jest ta najbardziej przewrotna statystyka: ulica to „tylko" 21 proc. osób bez dachu nad głową. Reszta jest w placówkach albo w rozmaitej tymczasowości. Czyli w strefie, którą władza zauważa dopiero wtedy, gdy mróz robi z bezdomności temat na konferencję.

Streetworking ma sens tylko wtedy, gdy jest dokąd odprowadzić człowieka. I tu wchodzi wspomniane „Najpierw Mieszkanie" – metoda oparta na skandalicznie lewackiej idei, że najpierw daje się stabilne mieszkanie i wsparcie, a dopiero potem układa się resztę życia. W pilotażu w trzech miastach program objął 42 osoby, kosztował ok. 5,6 mln zł. 81 proc. uczestników nie wróciło na ulicę; 71 proc. poprawiło sytuację zdrowotną. Streetworkerzy są w tym systemie kluczowi, bo to oni często wiedzą pierwsi, kto już jest gotowy na „wielki krok" – a kto jeszcze potrzebuje wielu małych, zanim w ogóle uwierzy, że to nie jest kolejna obietnica.

Przez lata streetworking nie istniał w ustawie o pomocy społecznej – formalnie był czymś między dobrą praktyką a fanaberią. Dopiero od stycznia 2025 r. zawód streetworkera trafił do rządowej klasyfikacji zawodów. Czyli: państwo odkryło, że ktoś tę robotę robi.

Teraz rząd próbuje to ucywilizować. W pracy powstaje tzw. mała nowela: ma wprowadzić do prawa definicję streetworkingu, jego cele i wymogi zatrudnienia, a także opisać go jako zadanie własne gminy. Problem w tym, że bez słowa „obowiązkowe" to jest dokładnie ta sama logika: gmina może, ale nie musi. Organizacje pozarządowe chciały obowiązku przynajmniej w gminach powyżej 50 tys. mieszkańców – bo wtedy za usługą idą pieniądze i ciągłość, a nie coroczne drżenie, czy wygra się konkurs. Streetworking „na chwilę" nie działa.

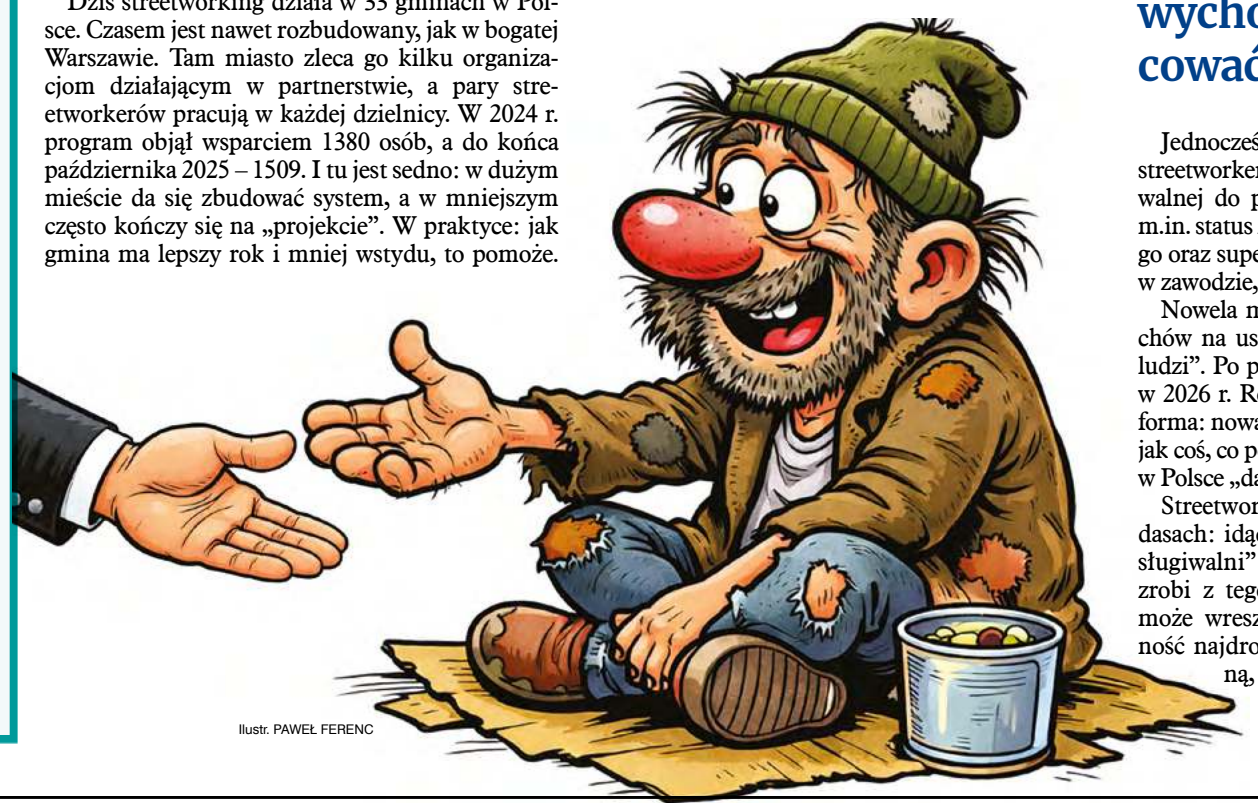
W projekcie pojawia się też coś, co brzmi jak mała rewolucja: dopuszczenie do pracy „ekspertów przez doświadczenie" – czyli osób, które same wyszły z kryzysu bezdomności (albo jeszcze z niego wychodzą) i mogą pracować z innymi.

Jednocześnie środowisko zwraca uwagę, że streetworkerzy nadal nie mają ochrony porównywalnej do pracowników socjalnych. Postulowano m.in. status zbliżony do funkcjonariusza publicznego oraz superwizję jako realne wsparcie psychiczne w zawodzie, który potrafi zmielić człowieka.

Nowela ma przesunąć akcent z instytucji-molochów na usługi środowiskowe i działanie „blisko ludzi". Po przyjęciu przez rząd ma trafić do sejmu w 2026 r. Równolegle zapowiadana jest „duża" reforma: nowa ustawa o wsparciu społecznym. Brzmi jak coś, co powinno było powstać dawno temu – ale w Polsce „dawno temu" to zawsze za wcześnie.

Streetworker to w gruncie rzeczy państwo w adidasach: idące tam, gdzie często ludzie są „nieobsługiwalni" dla urzędowej wyobraźni. Jeśli prawo zrobi z tego stałą praktykę, a nie ozdobnik, to może wreszcie przestaniemy płacić za bezdomność najdroższą walutą: ratunkową, interwencyjną, spóźnioną.

DAMIAN DUSZCZENKO



Ilustr. PAWEŁ FERENC

bardziej samochodowych arterii miasta, od początku wyglądał jak prowokacja: „jedź wolno, choć droga krzyczy: jedź szybciej". Szybko stał się jednym z najskuteczniejszych fotoradarów w Warszawie. W ciągu miesiąca zarejestrował około 8 tys. rzekomych wykroczeń, a do końca stycznia 2025 r. – nawet ok. 12,5 tys. naruszeń. W lutym minionego roku fotoradar dostał w mordę siekierą. Szacowane szkody: 50 tys. zł. Po naprawie radar wrócił dokładnie w to samo miejsce 17 kwietnia. Zaledwie 48 godzin później został ponownie zniszczony. Administracja nie zrozumiała aluzji. 23 grudnia 2025 r. radar znów został zamontowany przy Alejach Jerozolimskich 239 jako element Centrum Automatycznego Nadzoru nad Ruchem Drogowym (CANARD). Tym razem dostał w pysk workiem z białą farbą. Radar nie został zniszczony dlatego, że kierowcy nienawidzą bezpieczeństwa. Został zniszczony, bo w tym miejscu symbolizuje coś innego: brak sensu, arogancję władzy i pogardę dla obywatela kierowcy. To pomnik budowy państwa opresji. Za ten pomnik odpowiada Andrzej Kolasa – dyrektor CANARD, typowy przykład „urzędnika systemowego": człowiek realnie decyzyjny, ale niemal całkowicie niewidoczny publicznie, w granatowym mundurze administracji, cierpiący na chroniczny brak atencji społecznej.

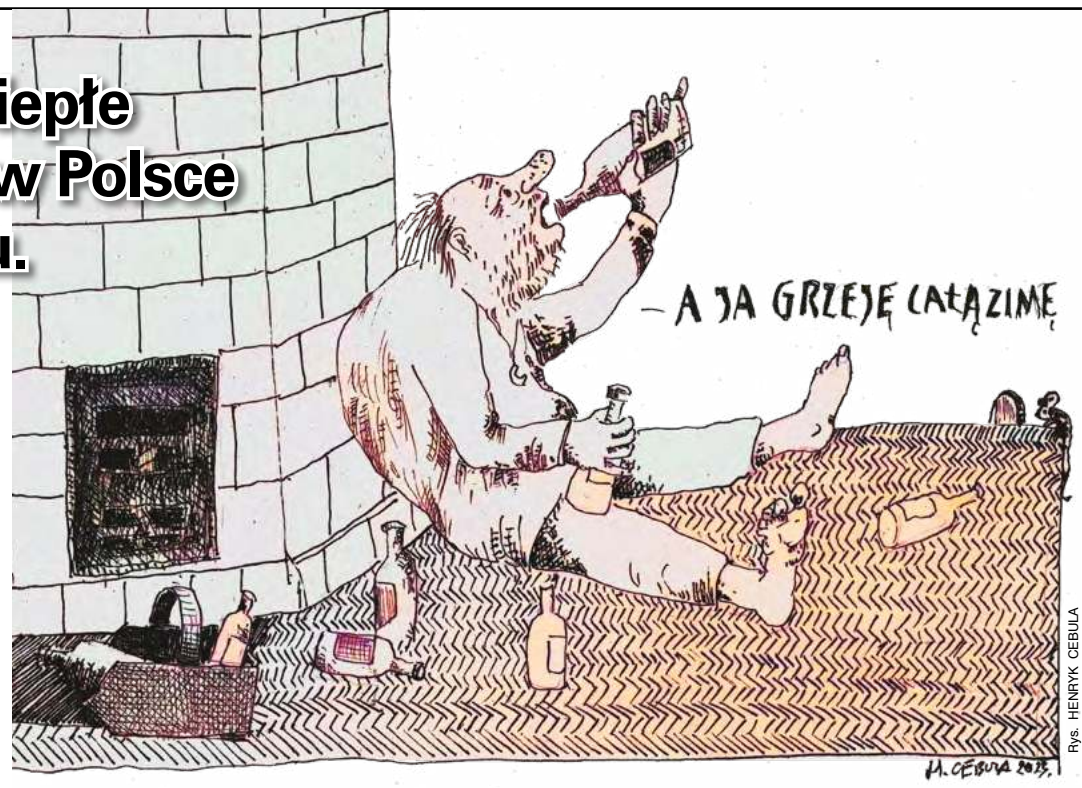
RJ

PS Informacje zaczerpnięto z dostępnych źródeł prasowych o charakterze lokalnym, uznanych za potencjalnie interesujące dla szerokiego kręgu odbiorców, co jednak w żadnym wypadku nie stanowi zapewnienia co do ich kompletności, aktualności ani zgodności z rzeczywistością. W konsekwencji ewentualne rozbieżności pomiędzy treścią przekazu a stanem faktycznym pozostają okolicznością niezależną od redakcji i nie mogą rodzić po jej stronie jakiejkolwiek odpowiedzialności.

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Zlodowaceni?

Za kilkanaście lat ciepłe grzejniki staną się w Polsce przejawem luksusu.



Rys. HENRYK CEBULA

Większość polskich miast od dekad grzeje mieszkania i podgrzewa wodę nie za pomocą domowych pieców, lecz dzięki wspólnej sieci. Nazywa się to „ciepłem systemowym". To dzięki niemu – z siecią rurociągów rozciągającą się dziś na około 23 tys. km – miła temperatura trafia do milionów mieszkań. Zamiast dziesiątków tysięcy rozrzuconych kotłowni czy pieców CO, mamy scentralizowaną infrastrukturę – łatwiejszą do kontroli, modernizacji, a przy sprzyjających technologiach – i do odchudzenia z emisji.

Dziś ponad połowa polskich gospodarstw domowych – ok. 52 proc. – korzysta z ciepła systemowego. W Warszawie to około 80 proc. budynków mieszkalnych, w Krakowie blisko 70 proc., we Wrocławiu ponad połowa. W tych miejscach powietrze jest zauważalnie czystsze od tego w mniejszych miejscowościach, gdzie dominuje indywidualne ogrzewanie węglem i drewnem. Dane pokazują, że tam, gdzie ciepło pochodzi z sieci, poziomy niemiłych nam pyłów PM10 i benzo[a]pirenu są niższe.

Reanimacja trupa

Tyle że ten mechanizm ma rysy. System opiera się na paliwach kopalnych – głównie węglu, rzadziej na gazie – co oznacza wysoką emisję CO_2 i innych zanieczyszczeń. Bo w Polsce około 60 proc. ciepła sieciowego pochodzi z węgla. A na dodatek już teraz ten system wymaga modernizacji. Same wymiany starych rur, pomp i kotłów pożerają mnóstwo kasy. Tylko w Warszawie plan modernizacji systemu ciepłowniczego na najbliższe lata wyceniany jest na ponad 3 mld zł. W skali kraju te potrzeby sięgają nawet 70 mld.

Do tego dochodzi drożejące paliwo, coraz wyższe opłaty za uprawnienia do emisji CO_2, inflacja, amortyzacja przestarzałych urządzeń. Ciepło systemowe, które przez lata kojarzyło się z taniością i wygodą, staje się towarem coraz droższym. Przykład? Między 2021 a 2023 r. rachunki za ciepło w niektórych miastach wzrosły o ponad 60 proc. Na dodatek za rogiem czai się w niedługiej perspektywie zakończenie kopania w Polsce węgla. A wtedy co z ciepłymi kaloryferami?

A gdy my cierpimy na węglową schizofrenię, świat wchodzi w nowoczesne niskoemisyjne źródła. Choćby w małe atomowe reaktory modułowe SMR. Taka mini atomówka ma moc rzędu kilkuset megawatów. Ale jak się chce mieć pełnogabarytową elektrownię jądrową, to można ją budować etapami, w przeciwieństwie do gigantycznych bloków jądrowych, których budowa trwa dekadę, SMR-y są tańsze, szybsze w realizacji i ponoć bezpieczniejsze.

Działają tak jak duże elektrownie jądrowe. W reaktorze zachodzi reakcja rozszczepienia, uwalniane jest ciepło, którym podgrzewana jest woda – woda ta może służyć do wytwarzania pary, napędzającej turbiny produkujące prąd, a poprzez wymienniki ciepła do ogrzewania budynków. Tak jak dzisiejsze węglowe elektrociepłownie. SMR-y dzięki mniejszym gabarytom mogą być budowane bliżej odbiorców, a nawet w miejscu dotychczasowych elektrociepłowni.

Najczęściej dyskutowany w planach europejskich reaktor ma moc ok. 300 MW – to mniej więcej jedna trzecia mocy tradycyjnego dużego reaktora. Dla wielu miast taka moc może być wystarczająca, by zasilić zarówno ogrzewanie, jak i ciepłą wodę. Według analiz ekspertów pięć, sześć takich jednostek mogłoby pokryć zapotrzebowanie cieplne całej Warszawy.

Zaczadzeni gazem

Koszty budowy SMR-ów są jednak i tak ogromne. Cztery reaktory 300 MW – z infrastrukturą, budynkami, instalacjami – wyceniane są na ok. 14 mld dol. Ale ceny reaktorów spadają. Według ekspertów wkrótce jeden moduł będzie kosztował mniej niż miliard euro.

SMR-y więc to rozwiązanie obiecujące, lecz kosztowne, wymagające czasu, olbrzymich inwestycji i chęci. Tymczasem Polska stoi w miejscu. Mimo że mamy jedną z najgęstszych sieci ciepłowniczych w Europie, z infrastrukturą i tradycją, mimo że mamy plany, strategie i deklaracje – nic się nie dzieje. Sektor ciepłowniczy stara się od węgla odejść, ale zamiast od razu budować coś nowego, stabilnego i ekologicznego, wybieramy drogę przejściową: gaz. Z jednej strony pozwala on spełniać unijne normy emisji CO_2, z drugiej – wprowadza nas w energetyczną zależność od drogiego surowca.

Jego cena zależy od czynników międzynarodowych: od decyzji Rosji, sytuacji w Zatoce Perskiej czy popytu w Azji. Kryzys energetyczny po rosyjskiej agresji na Ukrainę pokazał, jak kruche są podstawy opartego na imporcie modelu gazowego. Ceny skoczyły do rekordowych poziomów, a magazyny trzeba było ładować w pośpiechu. W przyszłości takie zawirowania mogą zdarzać się częściej. Do tego dochodzą koszty emisji. Unijny system EU ETS, czyli obowiązek zakupu uprawnień do emisji CO_2, będzie w najbliższych latach jeszcze bardziej obciążał gazowe źródła energii.

Inwestycje w SMR-y zaś leżą. Są projekty, deklaracje, aspiracje – ale brakuje planu, konkretnego harmonogramu i decyzji finansowej. Choć Polska zawarła porozumienia z firmami takimi jak GE Hitachi czy Rolls-Royce, to większość projektów znajduje się dopiero na etapie analiz wykonalności, wyboru lokalizacji lub pozyskiwania pozwoleń. Z optymistycznych zapowiedzi wynika, że pierwsze bloki SMR mogłyby działać pod koniec lat 30. Ale kontrakty należałoby zawierać już dziś.

Tymczasem brakuje woli politycznej, by uczynić z SMR-ów filar transformacji ciepłownictwa. Bez tego za kilka–kilkanaście lat może się okazać, że wielu z nas będzie miało z ciepłem prawdziwy problem. Systemy węglowe wygaszone, gaz drogi lub trudno dostępny, modernizacja sieci zbyt powolna, zamiast ekologicznych alternatyw – chaotyczne przestawienia i prowizorki.

A o SMR-ach – mimo planów – usłyszymy jedynie jako o odległej perspektywie, zbyt odległej, by uchronić nas przed zimną zimą.

Ciepło – dotychczas traktowane jako oczywistość – stanie się przywilejem. Albo zapłacisz drogo, albo zmarzniesz. Albo będziesz palił ognisko w mieszkaniu.

Władza śpi

Jeśli założymy, że koszt jednego reaktora BWRX-300 wyniesie (według deklaracji jednego z polskich inwestorów) ok. 1,5 mld euro – łatwo obliczyć, że cztery takie jednostki mogą kosztować 25 dużych baniek. Jednak to tylko początek rachunku. Do tej sumy należy dodać koszty infrastruktury towarzyszącej, przyłączeń do sieci, modernizacji sieci przesyłowej, systemów bezpieczeństwa, wyszkolenia personelu i uzyskania certyfikacji. W sumie może to oznaczać ponad 40 mld zł kosztów tylko dla jednego dużego miasta.

Przestawianie ciepłowni na gaz wydaje się dziś tańsze i szybsze. W Warszawie budowa nowego bloku gazowo-parowego w Elektrociepłowni Żerań kosztowała około 2 mld zł i trwała cztery lata. Ale to rozwiązanie, które tylko na chwilę kupuje nam czas.

A jeśli pozostaniemy przy gazie, przy cenach rynkowych, przy wzroście uprawnień do emisji, to koszt ciepła dla gospodarstw domowych będzie rosnąć non stop. W niektórych scenariuszach – przy dalszej dekadzie bierności – rachunki za ogrzewanie mogą wzrosnąć nawet dwukrotnie.

Z kolei jeżeli uda się uruchomić flotę SMR-ów na skalę krajową, zyskamy stabilne, niskoemisyjne ciepło i prąd. W długim terminie być może taniej niż przy gazie. Ale to wymaga odwagi, pieniędzy, planu. I politycznej decyzji, która musi zostać podjęta dziś – nie pojutrze, nie za dekadę. Bo systemy energetyczne nie zmieniają się z dnia na dzień. Ich przebudowa trwa latami.

Polityczne cykle wyborcze uniemożliwiają planowanie długoterminowe. Problem węgla „rozwiązuje się" przez ucieczkę w gaz zamiast w rzeczywiste alternatywy. SMR-y stają się hasłem dla mediów, a nie projektem do realizacji.

A zimny dom nie zna partyjnych barw. Zna tylko temperaturę. I rachunek. Do zapłacenia albo zmarznięcia.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie W DOBROBYCIE

● Portale miłujące obecną koalicję nieustająco głoszą „ostrożny, ale wyraźny" optymizm Polaków. Z nagłówków dowiadujemy się, że „Polacy zaczynają patrzeć z większym optymizmem na swoją sytuację finansową", że „maleje liczba osób ograniczających wydatki" oraz że „coraz więcej gospodarstw domowych oszczędza". Tę narrację wzmacniać ma grudniowy raport CBOS. Wynika zeń bowiem, że 36 proc. gospodarstw domowych „patrzy z nadzieją" na swoją sytuację finansową, a tylko 27 proc. jest pesymistami. Portale z entuzjazmem podkreślają, że „optymizm przeważa", choć nie dodają, że nadal 37 proc. badanych musi ograniczać bieżące wydatki, a 10 proc. pożycza pieniądze, żeby w ogóle związać koniec z końcem. Szczególną radość wzbudził fakt, że liczba osób ograniczających wydatki spadła z 48 proc. do 37 proc. „To wyraźna poprawa", a że ponad jedna trzecia Polaków liczy w sklepie każdy grosz... Jeszcze ciekawiej wygląda informacja o oszczędnościach. CBOS podaje, że 54 proc. gospodarstw domowych „udało się coś zaoszczędzić". Portale już nie tłumaczą, czy chodzi o realne odkładanie pieniędzy, czy raczej o to, że po opłaceniu rachunków zostało 50 zł do następnej wypłaty. Jest też inflacja. Spada, więc i tu pojawia się pole do radości. Aż 23 proc. badanych obawia się jednak ponownego przyśpieszenia wzrostu cen, a połowa uważa, że ceny będą rosły w takim tempie jak dotychczas. Tylko 16 proc. liczy na wolniejszy wzrost cen. CBOS odnotował również, że 37 proc. respondentów spodziewa się poprawy swoich dochodów. To o trzy punkty procentowe więcej niż dwa miesiące wcześniej. Portale ogłaszają więc „rosnącą wiarę w lepsze zarobki". Już niekoniecznie dodają, że odsetek osób obawiających się spadku dochodów wciąż wynosi 16 proc. i ani drgnął. Gdy zajrzy się głębiej w ten sam raport, CBOS sam przyznaje, że w większości badanych obszarów dominuje pesymizm. Najgorzej oceniana jest sytuacja gospodarcza kraju – tu pesymistów jest 45 proc., a optymistów zaledwie 18 proc. Tego już portale na czołówkach nie eksponują. Wskaźnik nastrojów konsumenckich wynosi dziś 3,9. Oznacza to, że optymizm pojawia się w czterech na 10 badanych aspektów. Innymi słowy – w sześciu jest odwrotnie. Ale od czego są prorządowe portale. Z kilku procentowych punktów wzrostu da się zrobić „przełom". Z ostrożnej poprawy – „zmianę nastrojów". A z raportu, w którym autor pisze o dominującym pesymizmie, można wycisnąć historię o rosnącym dobrobycie.

● Nowy rok zwykle zaczyna się od postanowień. Mniej cukru, więcej ruchu, może zmiana pracy na lepszą. Warto dorzucić do tej listy jeszcze jedno – teoretyczne przygotowanie się na bezrobocie. A to dlatego, że dane o zwolnieniach zaczynają wyglądać jak coś więcej niż chwilowa zadyszka. Lista firm redukujących zatrudnienie jest długa. Zwolnienia ogłaszają koncerny kosmetyczne, informatyczne, handlowe i przemysłowe. Jedni mówią o „optymalizacji", inni o „presji kosztowej", a jeszcze inni o „wymagającym rynku". Efekt zawsze jest ten sam – wypowiedzenie. Warto więc wiedzieć, co państwo ma do zaoferowania, kiedy etat nagle znika. Tym bardziej że od czerwca 2025 r. zasiłek dla bezrobotnych został podniesiony i zmieniono zasady jego naliczania. Dorzucono też reformę przepisów, bo w życie weszła nowa ustawa o rynku pracy i służbach zatrudnienia. Zasiłek przysługuje osobom zarejestrowanym w urzędzie pracy, które w ciągu ostatnich 18 miesięcy przepracowały co najmniej 365 dni. Warunek jest prosty – trzeba było zarabiać przynajmniej płacę minimalną i mieć odprowadzane składki na Fundusz Pracy. Resort pracy podkreśla przy tym, że świadczenie dostaje tylko ten, komu urząd nie jest w stanie zaproponować „odpowiedniej pracy, stażu, szkolenia czy innych form aktywizacji zawodowej". Innymi słowy – jak coś się znajdzie, to zasiłek może poczekać. Największa zmiana dotyczy wysokości świadczenia. Zniknął próg 80 proc. dla osób z krótkim stażem. Teraz wszyscy dostają 100 proc. podstawy, a osoby z ponad 20-letnim stażem pracy mogą liczyć na 120 proc. Przez pierwsze 90 dni 1721,90 zł brutto, a przy długim stażu 2066,28 zł brutto. Po 90. dniu 1352,20 zł brutto, a przy długim stażu 1622,64 zł brutto. To nie są pieniądze „na rękę". Zasiłek jest pomniejszany o 9 proc. składki zdrowotnej. Standardowo zasiłek wypłacany jest przez 180 dni. W powiatach o wysokim bezrobociu okres ten może zostać wydłużony do roku. Dłużej mogą go też pobierać osoby po pięćdziesiątce z długim stażem pracy, samotni rodzice wychowujący dzieci do 15. roku życia oraz małżeństwa, w których oboje rodzice są bezrobotni, a jedno z nich straciło już prawo do świadczenia. Dlatego rozpoczęcie roku od sprawdzenia, jakie warunki trzeba spełnić, ile wynosi zasiłek i jak długo przysługuje, nie jest dziś objawem paniki, tylko zdrowego rozsądku. Lepiej wiedzieć to wcześniej niż dowiadywać się w kolejce do urzędu pracy, gdy noworoczne postanowienia zdążyły się już zdezaktualizować.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

● Do listy firm tnących etaty dołączyła Ceramika Paradyż, jeden z największych producentów płytek ceramicznych w kraju. Spółka ogłosiła zwolnienia grupowe obejmujące 140 osób, czyli około 13 proc. całej załogi. A mówimy o firmie, która zatrudnia ponad tysiąc pracowników i przez lata była symbolem solidnej krajowej produkcji. Oficjalny powód to cięcie kosztów. Jak tłumaczy prezes spółki, „jednym z problemów branży jest kwestia zalania rynku polskiego tanimi produktami, np. z Indii, które wpłynęły bardzo mocno na ograniczenie produkcji polskich firm". Na tym tle państwowy optymizm gospodarczy brzmi coraz bardziej jak nagranie puszczane z taśmy. PKB rośnie, prognozy są dobre, a wskaźniki – jak zapewniają urzędnicy – wyglądają obiecująco. Tyle że najwyraźniej nie w tych halach produkcyjnych, gdzie gaz drożeje o 1400 proc., import zalewa rynek, a jedynym realnym planem naprawczym pozostaje lista osób do zwolnienia.

TTJ

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Oddech szczura

Nie czeka nas chyba nic złego. Bo przecież z tonącego okrętu gryzonie już dawno by uciekły.



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy Bartłomiej Sienkiewicz – przy ośmiorniczkach, długo przed dwiema kadencjami PiS i dwoma latami aktualnej koalicji – wypowiedział swoje słynne „państwo istnieje tylko teoretycznie”, mało kto przypuszczał, że wiele lat później cytat zacznie wybrzmiewać spod wrocławskich śmietników, z bruku ul. Igielnej i z piwnic kamienic na Starym Mieście.

Szumi, szura i szeleści

Wrocław, miasto stu mostów, neonów na Dworcu Głównym, hipsterskich knajpek i niedokończonych ambicji, doczekał się nowej atrakcji turystycznej – szczurzej ulicy. Gryzonie wyszły do ludzi. Stały się gospodarzami miasta. O każdej porze, choć najchętniej o zmroku, kiedy spod kontenerów wyruszają w zwartej kolumnie.

Mieszkanka ul. Igielnej relacjonuje, że chodzi z parasolką nie z powodu deszczu, lecz żeby „odstraszyć całe gangi, które przejęły chodnik”. Inna kobieta dodaje z rezygnacją: „Tam ich nie przestraszy ani człowiek, ani pies. Mają lepsze jadło i cieplej niż my”. Nocą przy śmietnikach słychać nie brzęk szkła, lecz radosny harmider gryzienia. Wrocław długo się oszukiwał, że to chwilowe, że coś się z tym zrobi, że wystarczy więcej trutek, kilka kontrolek, kampania plakatowa, by to minęło.

Miasto wydaje na walkę z ogoniastymi futrzakami około 2,5 mln zł rocznie. Trutki idą tonami, pojemniki wymienia się na szczelniejsze, a deratyzatorzy prowadzą akcje niczym wojsko na torach.

Wrocław już został ochrzczony stolicą szczurów. Ul. Igielna, kilka kroków od rynku, dorobiła się w internecie ksywki Rat Street. Szczury biegają po rabatach, walczą o resztki jedzenia, potrafią siedzieć tuż obok plastikowego pudełka z napisem „deratyzacja”, jakby czytały etykietę i w ramach protestu pozowały do zdjęć. Według szacunków specjalisty od odszczurzania cytowanego przez media we Wrocławiu jest co najmniej milion szczurów.

To nie są już pojedyncze spłoszone gryzonie. To armia, która rozumie, że tam, gdzie jest człowiek, są jedzenie i ciepło. Dla nich Wrocław to ideał – ciepła kanalizacja, labirynt piwnic, tysiące altan śmietnikowych, knajpy, w których nocą wyrzuca się resztki jedzenia, turyści zostawiający niedojedzone kebaby. Miasto rozciągnęło czerwony dywan – ze śmieci.

Oddech szczura ściany pieści

Ale jeśli ktoś myśli, że to problem wielkiej metropolii, która „musi tak mieć”, bo ma rzekę, kanały i turystów, to znaczy, że dawno nie zaglądał na polską prowincję. Tam dopiero widać, jak bardzo „państwo teoretyczne” rozpada się w praktyce – między gminnym regulaminem utrzymania czystości a rzeczywistością na podwórku.

Gostyń – miasto powiatowe w Wielkopolsce, takie ani duże, ani małe. Do niedawna kojarzone głównie z bazyliką i cukrownią, w tym roku zaczęło się kojarzyć z czymś innym. Z plagą gryzoni. Lokalny portal najpierw opisywał, jak szczury rozpanoszyły się w mieście, biegając po parku, po łąkach między blokami, po podwórkach. Mieszkańcy dzwonili, pisali, przynosili nagrania. „Skąd ich tyle?” – pytano. Urzędnicy twierdzili, że z powodu „szeroko zakrojonych prac rewitalizacyjnych”. Maszyny weszły w krzaki, wycięto chaszcze, wyrównano teren, zasiano nowe trawniki. Norki poszły pod ziemię. Szczury – pod blok.

Przyparty do muru burmistrz wydał obwieszczenie, że w związku z plagą szczurów cała gmina ma obowiązek włączyć się w dwutygodniową akcję deratyzacji. Od piątku do piątku, od daty do daty, każdy właściciel nieruchomości – blok, biznes, domek jednorodzinny – ma wyłożyć preparaty. W obwieszczeniu cytuje się regulamin utrzymania czystości i porządku, wylicza się miejsca: piwnice, śmietniki, kanały, stodoły. Brzmi poważnie, jakby właśnie ogłoszono mobilizację przeciwko wrogowi zewnętrznemu.

Kilka kilometrów od Śląska, w Będzinie, ludzie mówią już nie o szczurach w śmietniku, tylko o hordach. Mieszkańcy ul. Modrzejowskiej w lokalnej gazecie zachodzą w głowę: „Życie w sąsiedztwie hordy szczurów to życie przy tykającej bombie. Nie może być tak, że boimy się otworzyć okno z obawy, że zostaniemy pogryzieni”. Szczury biegną w biały dzień wzdłuż fundamentów, wspinają się po elewacji, znikają w dziurach ocieplenia. Wieczorem słychać charakterystyczny szelest w styropianie. Ktoś widział, jak gryzonie skaczą po parapetach na parterze.

Mieszkańcy pytają: kto jest odpowiedzialny? Spółdzielnia mówi, że deratyzację robi „zgodnie z regulaminem”. Miasto – że „nie ma sygnałów” albo że „wszystko w rękach zarządcy nieruchomości”. Zarządca – że „to teren miasta”.

Wszyscy razem zgodni są w jednym, trzeba powiesić nowe tabliczki: „Uwaga, trutka!”. Tymczasem szczury nie czytają tabliczek.

Sosnowiec – blokowisko, jakich w Polsce setki. W lokalnym portalu opisywano niedawno budynek, wokół którego ziemia wygląda, jakby przemaszerował tam batalion saperów. To jednak nie bomby, tylko nory. Gryzonie wykopały tunele wokół fundamentów, wygryzły przejścia w ociepleniu, wspinają się po ścianach do okien. Skaczą po parapetach. W styropianie – autostrady. „Żyjemy jak w filmie grozy” – mówi jedna z mieszkanek. Ktoś inny dorzuca: „Dzieci boją się zejść na dół po rower”.

Miasto odpowiada klasycznie: zleciliśmy dodatkową deratyzację, współpracujemy z zarządcą, prosimy mieszkańców o porządek. Jednocześnie radzi, by nie wyrzucać resztek jedzenia do śmietnika „luzem”, tylko w workach, nie dokarmiać ptaków na trawniku, nie zostawiać karmy dla kotów. W teorii wszystko racja. W praktyce – po południu pod klatką stoi pan z chlebem dla gołębi. Bo zawsze tak robił.

I podnosi w górę Ziemię

Rzeszów to już nie prowincja. Osiedle Nowe Miasto – ogromna sypialnia – bloki otoczone zielenią, skarpy nad rzeką, plac zabaw, parking. I szczury. Mieszkańcy mówią do kamery regionalnej telewizji, że gryzonie widać wszędzie: przy śmietnikach, przy placu zabaw, w krzakach przy chodniku. Jedna z kobiet opowiada, że wieczorem nie pozwala wnukom bawić się na dworze, „bo nie wiadomo, co one przenoszą”.

Miasto tłumaczy: deratyzacja jest, robimy, co trzeba, problem potęguje dokarmianie ptaków i kotów, wyrzucanie jedzenia przez balkon. Słowem – mieszkanka ma niechciane towarzystwo, bo inni sąsiedzi wyrzucają resztki po obiedzie w miejsce, w którym kiedyś rosły krzaki, a teraz roi się od wąsów i ogonów.

Są jednak miejsca, gdzie państwo przechodzi w czystą groteskę. Skierniewice – miasto między Łodzią a Warszawą – trafiły w ogólnopolski przegląd prasy z jednym zdaniem: „plaga szczurów w miejskiej kanalizacji”. Mieszkańcy skarżą się, że słyszą je w rurach, że widzieli gryzonie wyskakujące z otworów rewizyjnych, że boją się, iż pewnego dnia szczur wyskoczy im z sedesu w łazience. Przedstawiciele wodociągów zapewniają, że monitorują kanały, zlecają dodatkową deratyzację, uszczelniają włazy, ale „kanalizacja to żywy organizm” i „nie da się wszystkiego wyeliminować”.

Bo państwo polskie, dysponujące armią inspektorów, przepisów i paragrafów, przegrywa z gryzoniem o wadze 400 g poruszającym się w rurze o średnicy 10 cm.

Powiat kościerski na Pomorzu w swoim raporcie sanitarnym za 2024 r. podaje, że do inspekcji sanitarnej wpłynęły 72 interwencje mieszkańców, z czego 23 uznano za zasadne. Wśród nich – skargi na obecność szczurów. Sanepid nałożył 31 mandatów na łączną kwotę 13,4 tys. zł, dwie kary administracyjne na kolejne 2 tys. Ktoś dostał 200 zł za bałagan na podwórku, ktoś 500 zł za nieutrzymywanie czystości przy śmietniku. A gryzonie w tym czasie zmieniły adres.

Szczurze plemię, szczurze plemię

Szczury nie boją się dzieci. A raczej – nie boją się budynków, do których dzieci chodzą. Firmy deratyzacyjne chwalą się realizacją: „30 sierpnia przeprowadziliśmy deratyzację w szkole podstawowej, w trosce o bezpieczeństwo dzieci i personelu”. Teoretycznie gmina ma regulamin utrzymania czystości, szkoła ma obowiązek dbania o higienę, sanepid może nakazać deratyzację. Praktycznie – dopiero gdy ktoś zobaczy gryzonia przebiegającego po korytarzu, dzwoni do firmy z zewnątrz, która wchodzi z pułapkami między tablicę BHP a gazetkę ścienną „Bezpieczne wakacje”.

Magazyny dla dyrektorów szkół przypominają, że deratyzacja to nie dobra wola, tylko obowiązek. Trzeba mieć harmonogram, plan, dokumentację stacji deratyzacyjnych, protokoły przeglądów. Państwowa Inspekcja Sanitarna może to sprawdzić, a za zaniedbania nałożyć karę. Na papierze – państwo w pełnej gotowości. W realu – szczur, który znajdzie szczelinę w starym fundamencie, wejdzie do środka, zanim ktokolwiek zdąży wyjąć z szuflady harmonogram deratyzacji.

Formalnie w Polsce wszystko jest poukładane. Ustawa o zapobieganiu i zwalczaniu chorób zakaźnych ludzi mówi, że właściciele nieruchomości mają obowiązek przeprowadzać deratyzację w przypadku pojawienia się gryzoni. Regulaminy gmin wyznaczają dwa sezony obowiązkowego odszczurzania: wiosenny i jesienny. Sanepid publikuje na swoim portalu przypomnienia. Straż miejska zapowiada kontrole, prezydenci miast wydają obwieszczenia, a na Facebooku gmin pojawiają się kolorowe grafiki z hasłem: „Powiedz STOP szczurom!”.

A jednak, gdy zapytać mieszkańców, odpowiedź brzmi podobnie jak w Będzinie, Gostyniu czy Rzeszowie: szczury są. Wieczorem jest ich więcej niż rankiem. Deratyzacja coś tam pomaga, ale „na chwilę”.

Szczur wygrywa tam, gdzie system nie domyka się ani prawnie, ani mentalnie. Prawo mówi: każdy właściciel ma obowiązek deratyzacji. Właściciel odpowiada: „To problem miasta”. Miasto: „To odpowiedzialność wspólnoty”. Wspólnota: „Niech sanepid nakaże”. Sanepid: „My tylko kontrolujemy”. I tak w kółko. A szczur nie dyskutuje. Wchodzi.

Ale szczury są tylko objawem. Reszta to diagnoza, której nikt nie chce słyszeć. Że od czasu ośmiorniczek niewiele się zmieniło. Nadal próbujemy trutką i obwieszczeniem załatać to, co jest dziurawe w samych fundamentach. Państwo wciąż istnieje głównie w teorii, praktykę zaś przejęły gryzonie.

TADEUSZ JASIŃSKI

Łódź pada na pysk

Zgubne skutki nadmiaru piaru



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Ledwo magistrat zdążył ogłosić, że oto w Ogrodzie Botanicznym wyrośnie nam tropikalna dżungla jak z Singapuru (pisaliśmy o tym w numerze świątecznym), a już rzeczywistość – ta polska, łódzka i bardzo nieegzotyczna – przywaliła z liścia.

W ten sam poświąteczny weekend, w którym normalni ludzie próbowali jeszcze dojść do siebie po karpiu i polityce przy stole, łódzcy rajcy ruszyli w media społecznościowe z apelem niemal fitnessowym: wychodźcie z domu, spacerujcie po mieście, korzystajcie z przestrzeni, oddychajcie Łodzią. Instagramy i Fejsbuki zaroiły się od zachęt do przechadzek, zdjęć z deptaków i uśmiechów ludzi, którzy najwyraźniej poruszali się po alternatywnej wersji miasta. Bo w tej prawdziwej Łodzi właśnie wtedy zima przeprowadziła swój zdradziecki atak, zamieniając chodniki w lodowe tory przeszkód. Spacer po mieście stał się sportem ekstremalnym, a miejskie zaproszenia do przechadzek brzmiały jak prowokacja.

I może byłoby śmiesznie, gdyby nie to, że w całym mieście zabrakło karetek, a do pacjentów zaczęły jeździć zastępy straży pożarnej.

Wyjaśnienie tych zaproszeń do rozbicia sobie mordy jest banalnie proste – wysocy urzędnicy Łodzi, jako pełnoprawni politycy, mieli te posty ustawione z wyprzedzeniem. Zaplanowane, zatwierdzone, gotowe do publikacji jak spot wyborczy. I nikt ich nie odwołał, gdy miasto zaczęło zamieniać się w lodową pułapkę, bo nie po to miał wolne. Algorytm poszedł w ruch, social media zrobiły swoje, a rzeczywistość – jak to ona – nie została uwzględniona w harmonogramie.

To zresztą kwintesencja obecnego stylu zarządzania miastem. Łódź jest dziś prowadzona nie według kalendarza potrzeb mieszkańców, tylko według kalendarza komunikacji. Najpierw ustawia się narrację, potem liczy zasięgi, a dopiero na końcu – o ile w ogóle – sprawdza, czy da się przejść chodnikiem bez ryzyka hospitalizacji. PR ma pierwszeństwo przed solą drogową, wizualizacja przed łopatą, a zaplanowany post w socjal mediach przed odruchem przyzwoitości.

W tej logice wszystko się zgadza. Skoro miasto chce mieć tropikalną dżunglę pod dachem, to musi też udawać, że żyje w klimacie, w którym lód na ulicach jest anomalią. Skoro budujemy narrację o zielonej, nowoczesnej Łodzi przyszłości, to marznący deszcz jest przejściowym problemem, który nie powinien psuć przekazu dnia. A że ktoś się przewrócił? Cóż, w Singapurze też pewnie czasem pada.

Najzabawniejsze – o ile w ogóle można się tu śmiać – jest to, że miasto nawet nie próbuje udawać refleksji. Nie ma „przepraszamy”, nie ma „zawiedliśmy”, nie ma „wyciągniemy wnioski”. Jest za to klasyczne rozmywanie odpowiedzialności. Zima była trudna. Warunki były specyficzne. Pogoda była nieprzewidywalna. Czyli wszystko, tylko nie błąd systemowy. A przecież system polega właśnie na tym, żeby radzić sobie z przewidywalnymi kryzysami, a zima w grudniu do takich należy.

W tym sensie dżungla w Ogrodzie Botanicznym przestaje być pojedynczym kontrowersyjnym pomysłem, a staje się symbolem. Symbolem władzy, która żyje w pałacach, a nie w mieście. Która woli myśleć o mostach w koronach drzew niż o przejściach dla pieszych. Która inwestuje w egzotyczne wizje, bo dobrze wyglądają na slajdach, ale kompletnie nie ogarnia szarej codzienności, w której mieszkają jej wyborcy.

Łódź znów przegrała wizerunkowo nie dlatego, że deszcz spadł i zamarzł. Przegrała, bo sama wystawiła się na ten cios. Ustami wybrańców zaprosiła mieszkańców na spacer, nie sprawdzając, czy mają łyżwy. Opowiedziała o tropikach, stojąc po kolana w brei. I pokazała, że między miejską propagandą sukcesu a rzeczywistością jest dziś przepaść, której nawet najbujniejsza dżungla nie zdoła zarosnąć. Dopóki ktoś w magistracie nie zrozumie, że miasto to nie *feed* na Instagramie, tylko chodnik pod blokiem, każda kolejna wizja przyszłości będzie kończyć się tak samo – bolesnym poślizgiem i upadkiem na pysk.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Gdy chrześcijaństwo zaczyna się wycofywać, zło zapełnia pustą przestrzeń. Dzięki popkulturze okultyzm jest już dziś w naszych społeczeństwach traktowany jak coś normalnego.*** *(…)* ***Duchowe doświadczenie bez Boga najczęściej zamienia się w horror. Na Zachodzie w ślad za zanikiem wiary i wzrostem zainteresowania okultyzmem i pornografią postępuje aktywność demonów.*** *Kto zdaje sobie sprawę z faktu, że destabilizacja tożsamości, zwłaszcza tożsamości płciowej, była od zawsze przestrzegana przez wiele form okultyzmu jako kluczowy środek podważania judeochrześcijańskiej hierarchii i porządku?* (…) ***Symbolem jest tu crowleyowski hermafrodytyczny Bafomet, dwupłciowa postać człowieka z głową kozła. Ideologia transpłciowości jest więc próbą zniszczenia obrazu Boga w nas.***

Red. Robert Tekieli, Radio Maryja, 30 grudnia

■ *Kiedyś księża pomagali wzrastać w wierze, przekazywali katolicką wiarę, a co za tym idzie dbali o duszę, ducha i ciało.* ***Dziś stali się kierownikami ośrodków kultury. Quasireligijną tandetą zabawiającą ludzi znudzonych ewangelią.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 30 grudnia

■ ***Film „Ministranci" powinien budzić niepokój.*** *(…)* ***To opowieść, która w istocie sięga do myśli Lwa Tołstoja i do jego przekonania, że prawdziwe dobro i zbawienie rodzą się tylko poza Kościołem, a sama instytucja jest jałowa, martwa i niezdolna do przekazywania łaski.*** *(…) W „Ministrantach" z kolei schemat zostaje powtórzony w jeszcze bardziej radykalnej formie. Tym razem podważony zostaje sam sakrament spowiedzi. Podsłuchana spowiedź, będąca aktem świętokradztwa, nabiera nowego znaczenia i staje się impulsem do działania.* (…) *Przekaz jest jasny i czytelny.* ***Kościół jako przestrzeń łaski po prostu nie działa. Działa dopiero jego obejście i sprofanowanie.***

ks. Mateusz Szerszeń, Facebook, 29 grudnia

■ *Każdego roku na świecie w wyniku aborcji giną dziesiątki milionów dzieci.* ***To rzeź o znacznie większej skali niż zbrodnia Heroda.***

Zbigniew Kaliszuk, Fundacja Proelio, opoka.org.pl, 29 grudnia

■ *Prawne uznanie związków jednopłciowych albo zrównanie ich z małżeństwem oznaczałoby nie tylko aprobatę zachowania wewnętrznie nieuporządkowanego i w konsekwencji uczynienie go modelem dla aktualnego społeczeństwa, ale też zagubienie podstawowych wartości należących do wspólnego dziedzictwa ludzkości.* ***Kościół nie może bronić tych wartości ze względu na dobro ludzi i całej społeczności.***

abp Wiesław Śmigiel, PAP, 29 grudnia

■ ***Natura ludzka i łaska Boża są komplementarne. Inicjatywa zawsze należy do Boga.*** *Odrzucenie chrześcijańskiej wizji małżeństwa i rodziny, która nie jest zniewoleniem, lecz zgodnością z naturą ludzką, prowadzi do rozkładu rodziny, a tym samym zagraża szczęśliwej przyszłości człowieka.* ***Jest obowiązkiem Kościoła, aby przestrzec przed niebezpieczeństwem destrukcji płynącej z propagowania i wdrażania programów seksualizacji dzieci i młodzieży, chociażby pod pozorem tzw. edukacji zdrowotnej.*** *Programy te w imię pseudowolności, odrzucając Boga jako Stwórcę, każą przyjąć nowy typ czy formy życia już nie rodzinnego, tylko jakiejś przedziwnej wspólnoty bez konsekwencji moralnych.*

abp Wacław Depo, homilia, archikatedra Świętej Rodziny w Częstochowie, 28 grudnia

KLECHA



Rys. OBYWATEL JANEK

Apelujemy o większą szczodrość wobec kapłanów

Sutanna czyni złodzieja

Efekty pauperyzacji zawodu księdza są widoczne gołym okiem. Spada prestiż tej profesji oraz zaufanie do duchownych, wierni coraz mniej chętnie łożą na ich utrzymanie, bo sami mają problem z dopięciem budżetu. To powoduje, że sukienkowi imają się coraz bardziej ryzykownych i szkodliwych społecznie zajęć.

Fentanyl ludu

16 osób zostało zatrzymanych za handlowanie środkami odurzającymi i substancjami psychotropowymi. 12 z nich trafiło do aresztu. Ilości narkotyków oraz leków były hurtowe i takież dochody. Grupa działała od 2023 r. w województwach: małopolskim, łódzkim, mazowieckim i wielkopolskim. Ot, kolejni dilerzy – można by pomyśleć. Ale coś tę grupę jednak wyróżniało.

– Zatrzymany został między innymi lekarz, któremu przedstawiono zarzut fałszowania dokumentacji medycznej. Za pieniądze wystawiał fikcyjne recepty, jak również nienależne zwolnienia lekarskie. Jak ustaliliśmy, wystawił ponad 1500 takich fikcyjnych recept. Decyzją sądu został aresztowany. Zatrzymany został również duchowny, któremu przedstawiono zarzut wprowadzania do obrotu tych nielegalnych środków. On również decyzją sądu był aresztowany – poinformował oficer Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości. Sprawą zajęła się ta akurat jednostka policji, gdyż przedsiębiorcy działali także w internecie.

Ksiądz z Mazowsza zajmował się pośrednictwem między lekarzem a klientami. Jak wiadomo, księża posiadają duże zdolności interpersonalne oraz szerokie kontakty, co zapewne ułatwiało inkryminowanemu „duchownemu" funkcjonowanie na drugim etacie.

Handlarze mieli w swojej ofercie między innymi fentanyl, znany też jako „narkotyk zombie" – lek przeciwbólowy z grupy leków opioidowych. Działa podobnie jak morfina, tylko kilkadziesiąt razy silniej. Jak każde lekarstwo dające haj stosowany jest także w celach rozrywkowych. Zabawa z fentanylem – ponieważ jest to środek silnie uzależniający – prędko zamienia się w mordęgę i konieczność sięgania po kolejne dawki. W USA – decyzją Trumpa – fentanyl został uznany za broń masowego rażenia, bo „nie ma wątpliwości, że przeciwnicy Ameryki przemycają fentanyl do Stanów Zjednoczonych, bo chcą zabijać Amerykanów". Najpewniej obywatele USA odurzają się z powodu powszechnej szczęśliwości i dobrobytu.

U nas dystrybucją fentanylu zajmują się księża – też wrogowie Polski. Dotychczas kler dilował głównie opium ludu, ale nowe czasy to nowe wyzwania. Miejmy nadzieję, że handlarze zostaną przykładnie, lecz tradycyjnie ukarani: ksiądz trafi na inną parafię, a lekarz do innej przychodni.

Pokój temu księdzu

Kij tam jakiś szeregowy ksiądz, co do wypłaty musi dorabiać dilerką. Bieda dopada również tych wyższych szarżą. Ci jednak nie rzucają prochami po mieście, to poniżej ich godności. Rektor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie ks. prof. Ryszard Czekalski swoją przyszłość postanowił zabezpieczyć nieruchomością. Kredyty są dla frajerów, nawet kupowanie za gotówkę to zabawa dla plebsu. Porządny ksiądz mieszkanie po prostu dostaje. Reporterzy tefałenowskiej „Uwagi" dotarli do kobiety, która powierzyła swój los duchownemu, choć są wątpliwości, czy aby jest do tego całkowicie zdolna.

„Pani Emilia ma 88 lat. Od półtora roku przebywa w Stołecznym Centrum Opiekuńczo-Leczniczym w Warszawie. Ze względu na postępujące otępienie kontakt z nią jest ograniczony i nie wszystko, co mówi, jest zgodne z rzeczywistością. Decyzje w jej sprawie podejmuje ksiądz Ryszard Czekalski, rektor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Czekalski nie jest spokrewniony z panią Emilią, ale to on widnieje dziś w księgach wieczystych jako właściciel jej mieszkania" – czytamy na stronach „Uwagi". Po emisji reportażu „Ksiądz rektor i pani Emilia" do złożenia wyjaśnień wezwali duchownego jego przełożeni, biskupi Adrian Galbas i Szymon Stułkowski.

Ksiądz profesor zareagował stanowczo, gwałtownie i obszernie. Wydał długie oświadczenie (co profesor, to profesor), w którym punktuje rzekome słabości materiału TVN i przytacza szereg argumentów na korzyść własną.

„Z olbrzymim ubolewaniem i zażenowaniem odebrałem materiał telewizji TVN, który traktuję jako nieuprawniony, niezgodny z prawdą, nieetyczny i co najgorsze – nastawiony na bezrefleksyjne niszczenie człowieka" – lamentuje ksiądz profesor.

„Tym bardziej, że motywacją – opartego o pomówienia i nieuprawnione insynuacje – medialnego ataku na mnie są względy materialne. Jest nim mieszkanie, o którym – podobnie jak o jego właścicielce – nagle przypomnieli sobie krewni. Krewni, którzy przez lata nie wykazywali najmniejszego zainteresowania rzekomo bliską im osobą" – pisze ks. Czekalski.

Dzieci boże i księże

Przejmowanie mieszkań osób starszych i nieogarniających rzeczywistości ma w Polsce tradycję sięgającą najważniejszych osób w państwie. Na korzyść ks. Ryszarda Czekalskiego świadczyć może jednak fakt, że przejęcie nieruchomości odbyło się pokojowo i obeszło się bez ofiar w ludziach. Starczy wspomnieć choćby innego księdza pracującego w archidiecezji warszawskiej, który zbyt dosłownie zrozumiał termin „mieszkanie za dożywocie" i zabił siekierą pana Anatola, który mu mieszkanie za dożywotnią opiekę przepisał. Profesor nauk teologicznych jest zdecydowanie subtelniejszy. Nauka to potęgi klucz.

Cierpią biedę księża, cierpią ich dzieci. Aby zabezpieczyć swoją córkę i jej matkę, w konflikt z prawem musiał wejść także inny stołeczny duchowny, Ryszard L., były już proboszcz parafii św. Faustyny na warszawskim Bródnie. Przyjmował fikcyjne darowizny na parafię od zamożnych znajomych, którzy dzięki temu unikali podatków, on zaś pomnażał osobisty majątek. 10 proc. dla proboszcza, reszta trafiała do darczyńcy – taki był mechanizm, stosowany wśród księży dość powszechnie. Łącznie wyszło tych „co łasek" ok. 20 mln zł. Jak ustaliło CBA, ksiądz kupił za to własnej córce i jej matce dwa mieszkania, na koncie miał milion, kolejny w funduszach inwestycyjnych oraz drobne 110 tys. dolarów i 140 tys. euro w gotówce. Co boskie Bogu, co cesarskie księdzu.

Należy więc usilnie przypominać katolikom, że zobowiązani są utrzymywać kler – najlepiej na takim poziomie, żeby duszpasterze nie musieli wyłudzać, dilować ani zabijać.

MATT KOBOSKO



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Cenzurka prymasa

Kościelne asy wywiadu

Arcybiskup gnieźnieński podjął się w tej rozmowie diagnozy bolączek polskiego Kościoła kat. wprawdzie po łebkach i po kleszemu, ale przynajmniej padły jakieś pytania poza standardowym całowaniem w pierścień.

Wolność słowa w polskim Kościele kat. ma się doskonale. Dotychczas na banicję medialną skazywani byli księża, którzy krytycznie wypowiadali się o hierarchii czy instytucji, zazwyczaj w mediach niesprzyjających rzymskiemu katolicyzmowi. Kiedyś były to zakazy bardzo skuteczne – dyscyplinowany ksiądz miał do wyboru: morda w kubeł albo degradacja. Dziś – w dobie mediów społecznościowych – trudno upilnować każdego klechę, który używa sobie na Facebooku czy X, zwłaszcza gdy ma grono wiernych fanów. Cenzura jednak nigdy nie dotyczyła biskupów.

Na przełomie roku wkroczyła jednakże do nadwiślańskiego Kościoła nowa jakość. Sukienkowi i garniturowi katolicy pokłócili się o wywiad, którego udzielił abepe Wojciech Polak, nomen omen prymas Polski. Czyli taki teoretycznie „pierwszy między równymi", a w praktyce coraz częściej marginalizowany, bo nie kracze tak jak inne wrony z episkopatu. Nie jest bynajmniej jakimś rewolucjonistą, ale w tutejszych warunkach wystarczy wykazać się choćby drobną nielojalnością, żeby zostać zamilczanym.

No więc Wojciech Polak udzielił wywiadu Marcinowi Przeciszewskiemu, byłemu prezesowi Katolickiej Agencji Informacyjnej. Pan redaktor nie umie się ze swoją dawną firmą rozstać, zarzuca biskupom, że zrobili z niej tubę propagandową episkopatu, w której nie ma miejsca na debatę. Przeciszewski porozmawiał z prymasem, a zapis tej rozmowy wysłał do KAI z prośbą o publikację. Pod nowym przywództwem agencja ma oferować „zintegrowaną informację pozytywną" na temat Kościoła, a rozmowa Przeciszewski–Polak nie bardzo się w te ramy wpisuje.

Prymas został zagadnięty m.in. o anegdotyczną już komisję episkopatu ws. pedofilii i lekko skrytykował swojego kolegę Sławomira Odera, który przejął po nim pałeczkę w tworzeniu tejże. Przyznał że w kościołach coraz mniej młodzieży, migał się od konkretów na temat Funduszu Kościelnego. Generalnie oczywistości, które jednak w kręgach klerykalnych są tematami tabu.



Rys. TOMASZ WIATER

KAI oczywiście wywiadu nie opublikowała. Zapewne sam redaktor wiedział, że tak będzie, być może nawet zrobił to specjalnie, żeby wbić szpilę byłym kolegom. Wywiad został opublikowany na stronie internetowej prymasa oraz przepisany na paru innych stronach sprzyjających Polakowi i Przeciszewskiemu. Stronnicy tej wersji Kościoła, którą reprezentuje prymas, widzą w tym spisek przeciwko prawdzie, która leży po ich stronie. Są w tym nie mniej zawzięci, podejrzliwi i nieprzejednani jak ci, którym zarzucają te cechy. „Kościół otwarty" to ciągle Kościół, a jego otwartość kończy się na własnym środowisku.

Tomasz Terlikowski demaskuje: „Jedno prezydium, jeden przekaz i mordy w kubeł. Kompromitacja Episkopatu i jego władz postępuje. Jeśli mieliście wątpliwości, dlaczego prezydium KEP chciało przejąć KAI, to już wiecie. Marcin Przeciszewski zrobił wywiad z Prymasem Polski i wysłał go – jak to bywało zawsze do KAI-u. Wywiad był krytyczny wobec Komisji Odera, wynikało z niego, że arcybiskup Polak nie zna ściśle tajnego składu tegoż oderowego zespołu. KAI zaś decyzją ojca Stanisława Tasiemskiego (a może wprost o. Leszka Gęsiaka) wywiad odrzucił. Pewnie w imię jedności i siły medialnego przekazu. Po co pokazywać, że są jacyś przeciwnicy linii arcybiskupa Wojdy i biskupa Marczaka. Tak właśnie wygląda debata w Episkopacie i w Kościele, że w KAI nie ma nawet miejsca dla Prymasa Polski, a on sam musi wrzucać wywiad ze sobą na swoje strony archidiecezjalne".

Coraz lepiej widać, że ta rzekoma „walka o prawdę" i wzajemne zwalczanie się frakcji w polskim Kościele to zwykła wojenka o wpływy i konfitury. Gdy już prymasem zostanie przechrzczony Terlikowski, to dopiero się przekonamy, co znaczy „otwarty Kościół" w praktyce. Nic nie zostanie z wrogów wolności i liberalnego katolicyzmu, a wrogiem będzie miał szansę zostać każdy, nawet niedawny sojusznik. Uduszą nas miłością i zagłaskają na amen.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

Ginący gatunek

Przepraszam, że w sportowej rubryce przeczytacie – o ile zechcecie – o polityce. Takie mamy czasy.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Jestem dziennikarzem sportowym, a tytuł rubryki zobowiązuje mnie do trzymania się tematu. Oczywiście śledzę wszystko, co dzieje się w sporcie. Oglądałem narciarski Turniej Czterech Skoczni i najbardziej trzymałem kciuki za naszego dzielnego młodzieńca Kacpra Tomasiaka oraz Kamila Stocha, który w tym roku kończy swoją piękna karierę.

Cieszy mnie postawa Aston Villi w angielskiej Premier League. Temu klubowi kibicuję od wielu lat. Po fatalnym rozpoczęciu rozgrywek, gdy znalazł się w strefie spadkowej, przypomniałem sobie, jak trafił na niższy szczebel rozgrywek, a ja i inni kibice tego klubu (wśród nich książę William) bardzo to przeżywaliśmy. Teraz zespół, w którym nie grają wielkie gwiazdy, jest groźny dla najlepszych i walczy w czołówce.

Martwię się sytuacją Jeremiego Sochana w NBA. Ostatnio w ogóle nie wychodzi na parkiet w meczach najlepszej koszykarskiej ligi świata i trochę się boję, że włodarze San Antonio Spurs nie zechcą na dłuższą metę korzystać z usług reprezentanta Polski.

Oczywiście przeglądam kalendarz sportowy 2026 r., czekam na ciekawe imprezy, a najbardziej na piłkarskie mistrzostwa świata, w których być może zagra nasza reprezentacja, o ile uda się jej przebić w barażach. Aż takim optymistą nie jestem, by wróżyć naszym medale – podkreślę raz jeszcze – jeśli w ogóle dostaną się na mistrzostwa, ale będzie to naprawdę ciekawa impreza. Rozpocznie się 11 czerwca i potrwa ponad miesiąc w trzech krajach – USA, Meksyku i Kanadzie. I tu właśnie zaczynają się ciekawe pozasportowe tematy.

Imigranci na mistrzostwa

Dziennikarz sportowy nie powinien mieć klapek na oczach. Jak każdy obywatel musi śledzić, co dzieje się na świecie i w jego kraju. Prezydent USA Donald Trump po zaatakowaniu Wenezueli i porwaniu z Caracas prezydenta Nicolása Maduro (jakim był prezydentem, takim był, ale był) oraz jego żony odgraża się, że w kolejce do amerykańskiej interwencji stoją Kolumbia i Kuba. O Meksyku Trump mówi trochę mniej, choć to z tego kraju narkotyki płyną najszerszym strumieniem do Stanów. Można odnieść wrażenie, że zbliżające się mistrzostwa świata, będące oczkiem w głowie prezydenta USA, rozłożyły parasol ochronny nad tym krajem i jego prezydentką Claudią Sheinbaum Pardo. Gdyby nie mistrzostwa i gdyby Meksyk wydobywał znaczące ilości ropy naftowej lub posiadał złoża rzadkich minerałów, pani prezydent Meksyku mogłaby zająć na kobiecym oddziale więzienia w Nowym Jorku celę obok pierwszej damy Wenezueli.

Z Kanadą także jedynowładcy USA nie jest po drodze, bo premier Mark Carney należy do innego gatunku człowieka (o tym za chwilę), ale na razie wszystko sprowadza się do wprowadzania drastycznych ceł na towary od północnego sąsiada po to, by za chwilę je zmieniać lub anulować.

Ponoć – jak twierdzą organizatorzy – zainteresowanie mistrzostwami świata jest ogromne, z całego świata napływają zamówienia na bilety, ale ilu kibiców i z jakich krajów przyjedzie oglądać futbolistów, nie wiadomo. To przecież będzie wielka grupa imigrantów, a już zapowiedziano, że bilet nie stanowi gwarancji przekroczenia granicy wymarzonych Stanów Zjednoczonych. Ja bym się bardzo zastanawiał, czy pojechać na mistrzostwa, nawet z dziennikarską akredytacją, zwłaszcza że reprezentowałbym gazetę niepiszącą laurek Donaldowi Trumpowi. I tak zostanę na dupie, choroba neurologiczna sprawiła, że nie wyściubiam nosa poza podwarszawski Konstancin.

Teoria Mittelstaedta

Wspomniałem o dwóch gatunkach ludzi. Nie tak dawno na tych łamach przedstawiłem teorię naukową, którą skromnie nazwałem teorią Mittelstaedta. W największym skrócie chodzi w niej o to, że obecnie na Ziemi żyją jednocześnie dwa odrębne biologicznie gatunki ludzi, podobnie jak przed wiekami teren Europy dzielił przybyły ze wschodu nasz przodek homo sapiens z zasiedziałym tutaj człowiekiem neandertalskim. Uzasadniałem wywód licznymi dowodami. O jednym gatunku możemy mówić wówczas, gdy rozmnaża się płodnie i w naturalnych warunkach. Koń i osioł mogą mieć potomstwo, ale muł jest bezpłodny. Lew i tygrys również mogłyby się rozmnażać (dziś zajmują inne tereny, ale kiedyś żyły na tych samych obszarach), ich obyczaje godowe są jednak tak różne, że prędzej by się pozabijały, zanim doszłoby do aktu płciowego.

Przedstawiciele dwóch gatunków ludzi żyjących obecnie na naszym globie, których skrótowo nazwałem konserwatystami i liberałami, biologicznie mogliby się płodnie rozmnażać, ale nie w warunkach naturalnych. Liberałowie zakładają bowiem rodziny z liberałami, a konserwatyści z konserwatystami, z czego rodzą się liberatoriontka i konserwatoriontka. Oczywiście bywają wyjątki, ale w dawnych czasach też musiały rodzić się hybrydy, skoro każdy Europejczyk w swoim genomie ma niewielką procentowo domieszkę genów neandertalczyka.

Przeciwnicy teorii Mittelstaedta zwracają uwagę, że darwinowska ewolucja nie przebiega szybko, do wykształcenia się nowych gatunków trzeba wielu tysięcy lat. Niekoniecznie. Dobór hodowlany, czyli sztuczny, był dla Karola Darwina inspiracją do sformułowania przez tego najwybitniejszego uczonego wszech czasów dzieła „O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego". Teoria Mittelstaedta nie wspomina o doborze naturalnym, który wymaga długiego czasu. Rozejście się ludzkiej populacji na dwa odrębne gatunki porównywać raczej trzeba z działaniami hodowców psów czy bydła domowego. Do pojawienia się nowej rasy psów, owiec czy krów nie trzeba tysiącleci.

Na ewolucyjnym rozdrożu

Nie wszyscy ludzie żyjący teraz na Ziemi należą już do wymienionych dwóch gatunków. Są jeszcze tacy, którzy nie poszli ani w jedną, ani w drugą stronę i na ewolucyjnym drzewie nie zajęli swojej gałęzi. To ci, którzy nie posługują się internetem, w telewizji oglądają tylko seriale oraz teleturnieje i w zasadzie mają w dupie wszystko, co się wokół nich dzieje.

Osobniki jednego gatunku doskonale porozumiewają się między sobą na różny sposób: dźwiękami, gestami, zapachami. Natomiast porozumienie między gatunkami jest niemożliwe. Pieśń godowa samca szpaka nie wprawi w podniecenie samicy sójki, choć ona niewątpliwie ją słyszy. Komunikacja między współistniejącymi dwoma gatunkami ludzi też nie jest możliwa, choć wzajemnie rozumieją poszczególne słowa. Wystarczy posłuchać jakiejkolwiek dyskusji politycznej w jakimkolwiek kanale telewizyjnym. O porozumieniu nie ma mowy.

Archeologowie są zgodni co do tego, że pobyt dwóch gatunków człowieka na jednym obszarze musiał się dla kogoś skończyć zagładą, ale spierają się o przyczyny, które spowodowały, że homo sapiens przetrwał, a neandertalczyk wyginął.

Proszę popatrzeć, co dzieje się na świecie. Nasz gatunek – a należę do liberałów, cenię demokrację, wolność przekonań, brzydzę się rasizmem, nacjonalizmem, homofobią, antysemityzmem – wyraźnie wypierany jest przez gatunek, który te hasła, które ja odrzucam, wpisuje na sztandary. Konserwatyści – jak ich nazwałem – rządzą w wielu krajach, a w innych już szykują się do przejęcia władzy.

Polska jest na rozdrożu. Pałac prezydencki stał się gniazdem konserwatystów, a rząd – przy wszystkich swoich błędach i niedostatkach – jawi się jako siedlisko liberałów. Sondaże pokazują, że po następnych wyborach czekają nas rządy obecnych neandertalczyków, przy pewnych układach wspierane przez faszystów i antysemitów.

Porozumienie gatunkowe

Co robią liberałowie? To, co jest charakterystyczne dla tego gatunku. Spierają się między sobą (wszak jest demokracja), nie potrafią dać niezdecydowanym (tym, którzy nie wybrali jeszcze ewolucyjnej gałęzi) jasnego przekazu, chcą pokazać, że są silni, ale tego nie potrafią, bo pęta ich przywiązanie do reguł praworządności.

Konserwatyści nie mają takich wahań. Zapieprzają głową do przodu, nie liczą się z faktami, zapewniają, że dzięki nim Polska będzie znów wielka, a szczególnie zaawansowany ewolucyjnie szczep dodaje, że Żydzi i Niemcy nie mają tu czego szukać. I sondaże im rosną, głównie dzięki młodzieży.

Pan prezydent Karol Nawrocki znakomicie porozumiewa się z przedstawicielem swojego gatunku za oceanem. Premier Donald Tusk nie znajduje wspólnego języka z amerykańskim imiennikiem, bo – o czym wspomniałem – szpak i sójka słyszą swój głos, ale go nie rozumieją.

Karol Nawrocki ma znakomite wyniki w rankingach zaufania, choć nie zaprzeczał, iż brał udział w bandyckiej ustawce pseudokibiców i wpuszczał panienki dla gości Grand Hotelu w Sopocie. W ogóle kibice – nawiążę choć na chwilę do sportu – to środowisko, w którym gatunek konserwatystów rozwija się prędko i znakomicie.

W jaki sposób demokracja może przeciwstawić się autokracji mniej więcej wiem, bo wprowadziłem z grupką kolegów i koleżanek do parlamentu więcej posłów, niż ma ich Włodzimierz Czarzasty w swojej Nowej Lewicy. Tworzyliśmy coś w rodzaju politycznego PR, choć termin ten nie był jeszcze znany w Polsce, podobnie jak internet (tzn. internet już istniał, ale nie był powszechnie używany).

Nadążyć za światem

Zaczęło się od Polskiej Partii Przyjaciół Piwa. Pod idiotycznym hasłem, żeby Polacy zamiast wódki pili piwo, i z zupełnie przypadkowymi, a nawet szkodliwymi kandydatami, udało się w 1991 r. wprowadzić do sejmu 16 posłów. Przejrzałem internet, nigdzie nie znalazłem nazwiska prawdziwego twórcy PPPP i szefa naszej nieoficjalnej grupy, nieżyjącego już Tadzia Piwowara. Naszą zasadą było działanie po cichu, za plecami, nieujawnianie istnienia, choć to my tak naprawdę prowadziliśmy kampanie wyborcze. Po rozpadzie PPPP stanowiliśmy niejawny sztab wyborczy kandydatów na posłów, senatorów, o samorządowcach nie wspomnę, z najróżniejszych ugrupowań od lewa do prawa. Strategię kampanii ustalaliśmy wspólnie, a później każdy miał swoje zadania. Do mnie należało słowo pisane i poligrafia, ale mieliśmy specjalistę przygotowującego kandydatów do udzielania wywiadów telewizyjnych, wymyślania chwytnych haseł, nawet dziennikarkę zajmującą się modą, która zwracała uwagę na ubiór kandydata.

Oficjalny sztab wyborczy działał jawnie, korzystając z oficjalnego funduszu rozlepiał plakaty, rozwieszał banery, organizował spotkania w terenie. Skąd my braliśmy pieniądze – tę tajemnicę zabiorę ze sobą do grobu, w każdym razie traktowaliśmy działanie zarobkowo, pracowaliśmy dla polityków z różnych stron sceny. Pamiętam, jak miałem opory przed opracowaniem materiału dla Jana Olszewskiego, bo politycznie było mi z nim bardzo nie po drodze, ale Tadzio Piwowar wytłumaczył mi, że lekarz leczy każdego, a adwokat broni w sądzie mordercy. My także jesteśmy zawodowcami, przekonywał.

Dziś już nie mógłbym tego robić. Świat tak się zmienił, że za nim nie nadążam. Z pracy w grupie politycznego PR wycofałem się wcześniej, niż się rozpadła. Szczerze? Wkurzało mnie, jak łatwo można robić ludziom wodę z mózgu i wmawiać im to, co chcą usłyszeć. A wówczas jeszcze codziennie goliłem się przed lustrem. Grupa zresztą wkrótce sama się rozleciała. Tadzio umarł, a koledzy złamali żelazną zasadę, że działamy w tajemnicy. Ujawnili się jako oficjalni doradcy w rządzie premier Ewy Kopacz. To był ich koniec, natychmiast wyciągnięto, że pracowali dla innych.

Liberałom grozi wyginięcie. Schodząc ze sceny, chciałbym widzieć, że mają jakieś pomysły i że prowadzą ich ludzie należący do nowego pokolenia. Donald Tusk i Włodzimierz Czarzasty, zwłaszcza ten drugi, na pewno go nie rozumieją. Lewica ma swoich wyborców. Nie siedzą na nastawionych prawicowo i nacjonalistycznie trybunach stadionów, ale przed komputerami i w coś grają albo coś tam innego majstrują. Porwać nie zdoła ich człowiek związany z głównym nurtem i usiłujący dowcipami udawać swojego poprzednika na stołku marszałka sejmu. Tamten był w te klocki lepszy, a i tak nic mu nie pomogło, trafił na aut.

Gdyby Włodzimierz Czarzasty zapytał mnie – a nie zapyta, bo uważa się za najmądrzejszego – co powinien robić, ja, stary polityczny piarowiec, odpowiedziałbym szczerze: „Nie wiem, proszę zapytać kogoś młodszego i prędko poszukać jakiegoś bojowego następcy, który nie będzie utożsamiany z systemem". Tylko antysystemowcy mają dziś rację bytu w polityce. Tak intuicyjnie czuję, ale dziś są badania, sztuczna inteligencja i inne cuda, o których nie mam pojęcia. Niech tam szuka odpowiedzi.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 7.01.2026 r.

eprasa.pl 7ed9f7e1a2

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Eksperci policzyli, że akcja amerykańskiej napaści na Nicolása Maduro musiała kosztować co najmniej pół miliarda dolarów. Tyle jankesi wydali na honoraria dla zdrajców, pizzę dla własnych agentów, na paliwo do śmigłowców, myśliwców, dronów i okrętów, na pociski, kajdanki, na prąd do komputerów i radarów, nawet na dodatkową nocną kawę dla Donalda Trumpa i jego klakierów, żeby im się dobrze w Mar-a-Lago oglądało transmisję rajdu na Caracas.

Pół miliarda dolarów za to, żeby schwytać jedną starą babę i jednego starego dziada, a przy okazji zamordować kilkudziesięciu niewinnych w świetle prawa ludzi. Cóż za marnotrawstwo! Gdyby Trump wynajął dwóch miejscowych opryszków, porwaliby Madurów za jedną setną tej kwoty i nikogo by nie zabili.

Ale kto rozrzutnemu zabroni…

Roczny amerykański budżet wojskowy wynosi mniej więcej 900 mld dol. Gdyby w 2026 r. Trump chciał wydać pieniądze na porwanie przywódców państw, to by mu ich zabrakło. Przywódców, a nie pieniędzy.

Na świecie jest 197 państw, w tym takie drobinki jak Watykan. W obowiązujących w 2026 r. cenach ujęcie i uwięzienie liderów wszystkich tych państw kosztowałoby Amerykanów 98,5 mld dol., czyli niecałe 11 proc. kasy przeznaczonej na zbrojenia. A pewnie mniej, bo koszt uprowadzenia np. papieża ograniczyłby się do ceny biletu lotniczego Rzym–Waszyngton (ze względu na skromność Leona XIV – w klasie ekonomicznej) i rachunku za taksówkę na trasie Plac Świętego Piotra–lotnisko Fiumicino. Razem 400 dolków plus 10 napiwku dla taksówkarza. Taki Viktor Orbán da się porwać zupełnie za friko, a jeżeli J.D. Vance się uprze, to premier Węgier jeszcze do imprezy dopłaci.

Nic tylko uprowadzać, więzić i sądzić.

W odpowiedzi na groźby Trumpa dotyczące zajęcia Grenlandii (bo uprowadzić jej się nie da nawet za pierdyliard dolarów) w rozumach przywódców państw należących do Unii Europejskiej może powstać pomysł porwania lidera USA.

To się nie uda.

Po pierwsze, ze względu na czas. Unia będzie musiała utworzyć specjalny fundusz, powołać jego władze i wyemitować obligacje. Zajmie to tyle czasu, że Trumpowi skończy się kadencja.

Po drugie, ze względu na absolutny brak możliwości zachowania akcji w sekrecie. Jeśli w poniedziałek wieczorem w sprawie kidnapingu będzie w tajemnicy rozmawiała Ursula von der Leyen z Antóniem Costą, to we wtorek rano będzie o tym wiedziała sekretarka premiera Roberta Ficy, a po południu notkę na ten temat opublikuje w internecie dziennik „Le Parisien”.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA wróciła z Barcelony.
JOANNA SENYSZYN płynie na Nowej Fali.

Senyszyn: – I jak ci się podobało?
Wołk-Łaniewska: – To skomplikowane…

– Znowu będziesz malkontenctwo uprawiać? Toż Barcelona uchodzi za jedno z najpiękniejszych miast na świecie!
– Toć nie mówię, że nie. Ale trochę mnie ten cały Gaudi zawiódł…

– No teraz to już naprawdę przesadzasz!
– Właśnie że nie. To wszystko dlatego, że obejrzałam na Netflixie serial kryminalny, w którym para seryjnych morderców przyczepiała ofiary do różnych budynków Gaudiego, polewała benzyną i podpalała…

– Urocze.
– Uwielbiam filmy o seryjnych mordercach. W każdym razie ten film tak pięknie pokazywał te budynki, że w realu odczułam pewne rozczarowanie.

– Na pewno w filmie były lepiej oświetlone.
– Masz rację, mogło o to chodzić… Żywy ogień zawsze dodaje urody. A potem pojechaliśmy do Parku Güell i tam się już całkiem obraziłam.

– Na Gaudiego?
– Raczej na Barcelonę. Bo pod parkiem protestowali przewodnicy, którzy najpierw kończą studia z historii sztuki, uczą się wszystkiego o tym Gaudim, uczą się jakiegoś tuzina języków, a potem dostają tę wymarzoną pracę w tym legendarnym centrum kulturalnym miasta. I okazuje się, że mają pracować po 11–12 godzin, sterczeć tam w deszczu i spiekocie pod gołym niebem – i zarabiają 1100 euro. Toż to mniej niż płaca minimalna w Polsce – a życie jest jednakowoż droższe w Barcelonie…

– I za to się na nią obraziłaś?
– Nie za to, że życie jest drogie, tylko za to, że płaci ludziom takie gówniane pieniądze, bo park należy do miasta. Bilet kosztuje 20 euro z okładem, park ma 4,5 miliona zwiedzających rocznie. Czyli miasto wyciąga z tego koło 100 baniek. I nie stać ich, taka ich mać, żeby ludziom przyzwoicie zapłacić?

– Stać ich, ale bogaci tak mają: płacą za mało, żeby się wzbogacić. Marks się kłania: wartość dodatkowa pochodzi z nieopłaconej pracy robotników. Ale na arcydzieła nie należy patrzeć przez pryzmat kapitalistycznego, feudalnego czy niewolniczego wyzysku…
– Oj tam, od razu arcydzieło. Taka tam mozaika z potłuczonych talerzy, jak na elewacji u badylarza w powiecie grójeckim w latach 70… I do tego jeszcze ta cała Sagrada Familia… Pamiętasz zamki wykapane z piasku?

– Co znaczy „wykapane”?
– No tak się bawiło nad morzem. Brało się mokry piasek, kapało i w ten sposób powstawały takie różne konstrukcje z wieżami. Wykapana Sagrada Familia.

– Nigdy nie miałam takiego skojarzenia, ale coś w tym jest. A w środku byłaś?
– Nie. Bo trzeba było zapłacić 100 euro. A jak za darmo, to na mszę. Więc sobie odpuściłam.

– A masz coś dobrego w ogóle do powiedzenia o Barcelonie?
– Tak, bardzo mi się podobała demonstracja w obronie Wenezueli i przeciw amerykańskiemu imperializmowi, w sobotę wieczorem.

– Jak ty to robisz, że gdzie się ruszysz, trafiasz na protesty? Przedtem w Londynie, potem w Paryżu, teraz w Barcelonie… Przypadek czy może ty je organizujesz?
– Organizacja nie jest moją mocną stroną, ale jakoś je przyciągam… Jak mnie w końcu zabierzesz do tej Brukseli, też jakiś wynajdę.

– W Brukseli będzie ci łatwiej, bo tam co i rusz protestują niezadowoleni z Unii.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Po ostatnich wydarzeniach jestem skłonna do nich dołączyć. Żałosna odpowiedź Unii na amerykańskie gangsterstwo w Wenezueli nie ma sobie równych. No może z wyjątkiem tego, co zrobił rzekomo lewicowy rząd Wielkiej Brytanii, bo to jeszcze miększe faje są. Obowiązująca linia Labour Party jest taka, że rząd brytyjski nie wie, czy działania USA były legalne, dopóki USA mu nie powie. A do tego dochodzą władze BBC…

– Powszechnie uchodzącego za wzorzec dziennikarskiego obiektywizmu…
– Taaaa. Gdzie te czasy. Otóż kierownictwo BBC skierowało do reporterów notatkę: „Aby zapewnić przejrzystość i spójność naszych relacji, prosimy o przestrzeganie poniższych wytycznych”. I potem jest zalecenie, żeby w odniesieniu do Maduro używać terminu „schwytany” ewentualnie „ujęty”, ale „unikać określenia »porwany«”.

– Polscy dziennikarze chyba też dostali tę notatkę.
– Najwyraźniej. Ale redakcja „NIE” nie. Wiem to na pewno, bo to ja musiałabym ją napisać. Otóż jak banda uzbrojonych po zęby zbirów wdziera się w nocy do czyjegoś domu, morduje ochronę i przemocą zabiera gospodarzy – to to jest definicja porwania. Niezależnie od tego, czy chodzi o prezydenta suwerennego kraju, czy zwykłego obywatela. Fakt, że europejska klasa polityczna nie ma jaj, żeby to powiedzieć, czyni ze mnie eurosceptyczkę. Jadę do Brukseli protestować!

– Na razie cię nie zabiorę, bo załatwiam formalności związane z wpisem Nowej Fali do rejestru partii politycznych, co wymaga uprawomocnienia, odebrania zaświadczenia z sądu – a jak wiadomo, mamy najdłuższe święta nowoczesnej Europy, wyrobienia regonu, otwarcia rachunku bankowego, zorganizowania lokalu…
– No i już wiem, dlaczego nigdy nie zostanę przywódcą partii. Nie dlatego, że nie mam żadnych zdolności przywódczych, i generalnie należę do gatunku tych, co komentują, nie tych, co robią. Po prostu przerosłyby mnie formalności.

– Po co miałabyś zakładać partię, skoro jest moja?
– No właśnie, i jeszcze to.

– I jeszcze ci powiem, że Nowa Fala urodziła się 9 grudnia 2025 r., więc jest numerologiczną trójką. To znakomicie, bo trójka w numerologii to jedna z najsilniejszych i jednocześnie najbardziej tajemniczych liczb. Jest urodzona, by wygrywać. To uosobienie doskonałości oraz symbol niebiańskości…
– Zwłaszcza niebiańskość do ciebie pasuje.

– Nie o katoniebiańskość chodzi. Chodzi o harmonię ciała, umysłu i ducha oraz jedność z wszechświatem. Z kolei nazwa „Nowa Fala” to numerologiczna jedynka, czyli lider: samostanowienie, innowacja, eksploracja, indywidualizm, niezależność, samowystarczalność.
– Joanno, przekonałaś mnie. Tym bardziej że teraz już na pewno nie zagłosuję na partię Czarzastego.

– Dopiero teraz na to wpadłaś?
– No w zasadzie to już dawno, ale jak go jeszcze Grok rozbierze… Goły Czarzasty to jedna z rzeczy, których nie da się odzobaczyć…

– To może wyjaśnijmy Czytelnikom, którym to umknęło. Chodzi o ustawę o blokowaniu szkodliwych treści w internecie…
– Której prezydent grozi wetem…

– Tłumacząc to wolnością słowa. Co jest skądinąd dość zabawne, bo przecież wolność słowa nie dotyczy sztucznej inteligencji. Przynajmniej na razie. W ramach nacisku na prezydenta wymieniony przez ciebie osobnik zażądał, aby sztuczna inteligencja Elona Muska stworzyła jego nagie zdjęcie – co jest ostatnio modnym trendem w necie – „po to, żeby to się poniosło”…
– A tak swoją drogą: jakie trzeba mieć mniemanie o sobie, żeby uważać, że akurat twój fiut odwróci losy prawodawstwa…

– On jest sobą całkowicie zachwycony. I przekonany o swojej sile sprawczej. Jak Grok tego nie zrobi, to sam się rozbierze…
– Groku, błagam: zrób. Real będzie jeszcze bardziej przerażający.

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 7ed9f7e1a2